LESZEK KONOPACKI

POEZYE

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

POEZYE

LESZEK KONOPACKI

POEZYE

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

KRÓLESTWO ZIEMI.

Bezmiarem i wiecznością jest otchłań Wszechświata
I w jedność tajemniczą duszę z ciałem splata.
A ludziom czyż się wiecznie będzie wydawało,
Że jako dwaj wrogowie są dusza i ciało?
Gdzież smutek bez westchnienia, gdzie miłość bez żarów,
Gdzie raju blask zaziemski bez ziemi tej czarów?
I Boga jak bez kształtu w zachwytach ujrzycie,
I jak materyi samej pojmiecie wy życie?
Czyż zawsze dwie potęgi — Świat Ciała, Bóg Duszy —
Dla ludzi będą źródłem odwiecznych katuszy?
O głębio podświadoma w przepaściach człowieka —
Twój wir bezwiedzy skrytej od wiedzy ucieka;
Twój duch jest napół ciałem i ciało wpół duchem,
I wszystko połączone miłości łańcuchem.
U szczytu zaś rozmyślań — tam »Ja« patrzy blade
W ziemskich przemian stubarwną i szumną kaskadę;
W srebrzystem jej zwierciadle widzi ciągle siebie
I marzy o Zjednaniu — o ziemi tej Niebie.
W tem Niebie wszelka wieczność, i Bóg, i anioły,
W niem ziemi kwietne raje i bolu padoły,
I miłość Duszy z Ciałem — tak ziemska i święta —
Promienna i skrzydlata, od ślepców przeklęta.
Przeczucie głuche szepce, że dzień przyjdzie słońca
I znikną czarne mury w światłości bez końca.

MARZENIA.

Chciałbym ja słowa mieć kwietne i wolne,
By odmalować wam barwy zachwytne —
Szarego co dnia odbicia błękitne
W zwierciedle duszy, które jedno zdolne
Dziwnie przemieniać padół błota w szczytne
Załomy wirchów, śmiecie — w kwiaty polne,
A łzy — w dyamenty...

Chciałbym ja w słowie, jak morze głębokiem,
Tajniki Świata i Życia odtworzyć,
Na język śpiewnych metafor przełożyć
Wiedzy surowość, byście jasnem okiem
I myślą żrącą szli za strofą moją.
Chciałbym ja Piękno znaleźć w Wiedzy wszelkiej —
Piękno, będące nazwą Prawdy wielkiej,
Okute czarem, jako rycerz zbroją;
I Wam pokazać, jak Sztuki zarzewie
W Bytu pomroki, gdzie Wiedza nic nie wie,
Może nieść światła i rozpraszać ciemność,
I może dalej iść w głuchą tajemność
Wieków i Świata...

Chciałbym ja rytmem, niby szumną falą,
Blaskiem słonecznym i echem słowiczem
Powtórzyć skargi, jakiemi się żalą
Przed życia kwietnem i krwawem obliczem
Dziecinna dusza i smutki młodości,
I otulone zawieją piękności,
Srebrzyste płaczą...

Chciałbym ukazać Wam tajemne groby,
Gdzie męczenników połamane krzyże
Śpią snem zapomnień i wiecznej żałoby
Porosłe pleśnią w nieznanym kościele...
Chciałbym ja dużo... oby nie za wiele!

O ZMIERZCHU.

A otóż niebo przed tobą i morze,
I dnia jasnego pociemniałe zorze,
I Bóg sam jeden wśród wieczności łona.
Z szafirów zblakłych, z ukojeń twe łoże —
Czemuż więc duszo nie spoczniesz znużona?

Pod skałą fale szumią i smętnieją,
Ptaki gdzieś morskie z oddali szarzeją,
Jęcząc za słońcem, za lazurów chwałą.
Zaśnij-że duszo wraz z martwą nadzieją,
Gdy nic prócz wspomnień bladych nie zostało.

O duszo moja, wszak w wieńcu kwiatowym
Szłaś na spotkanie rozkoszom wciąż nowym,
I dłonie swoje, jak złote kielichy,
Tyś wyciągała k'źródłom haszyszowym,
By niemi czerpać upojeń przepychy.

A piękno było słońcem twego nieba,
I kwiaty szczęścia rodziła twa gleba,
A kwitły one o każdej godzinie,

I nic od ludzi nie było potrzeba,
Boś samej sobie stawiła świątynie.

O duszo moja, każde pożądanie
Było jak słońca nowego świtanie,
I zanim zeszło — tonęło w powodzi
Już nasycenia... Dziś na twe wołanie
Żadne nie zstąpi z Charonowej łodzi.

Więc smutnaś, duszo? Patrz, ptaki szybują —
Znużone we dnie, swych gniazd poszukują;
Już opuściła je słońca tęsknota.
Zamknijmyż oczy, jak ci, co nie czują
Przesytem życia zwiędłego żywota.

Coś szepcesz, duszo, coś w tobie się wzbija,
Jak w zmierzch wieczorny rozkwitła lilija,
Coś mówisz... Życia nowego, anioła
Pragniesz, co skrzydła swe w słońce rozwija?
Dziś już zapóźno. — Senny świat dokoła —
Zmierzch taki cichy... może Śmierć już woła...

POŁUDNIE.

Oto skwarne jest południe, wszędy cicho i bezludnie,
Czy widzicie, jak przecudnie wzrasta marzeń letni kwiat?
Łany zbóż się nie kołyszą, ukojone niebios ciszą,
Żarem słońca piersi dyszą, drży w promieniach cały świat —
Czy widzicie w słońcu, w cieniu, jakby powiew złudnych szat,
Na murawach dziwny ślad?

Kogo w słońcu oczy bolą, kto zmęczony jest nad rolą,
Ten nie ciekaw, jak swawolą szumne roje złotych much;
Kto ociężał i zmęczony — nie wpatruje się spragniony
W zwitych krzewów cień zielony, w nieuchwytny listków ruch,
Komu w szumnym życia gwarze dawno stępiał serca słuch,
Temu obcy widzeń duch.

Póki starsi sobie zdrzemną, chodźcie dzieci, chodźcie ze mną —
Pójdziem drogą potajemną, poprzez łąki kwietną błoń.
Za nią ujrzym ciche wody, jasne tonie dla ochłody,
Gdzie świat czarów, wiecznie młody, obejmuje modrą toń.
Tam w wilgoci z wód się wznosi nieuchwytna, cicha woń,
Tam króluje cudów dłoń —

Patrzcie wokół: kraj wam znany, ale dziś zaczarowany.
Wszystko niby tak bez zmiany — jednak wygląd inny ma;
Wszystko w czary się przemienia — to w nagrodę za pragnienia
Waszych marzeń, za westchnienia, kiedy srebrna spadnie łza
Na opowieść o królewnie, którą wicher luty gna,
Co, sierota, w puszczy łka. —

I powoli bajek słowy oplątałem dzieciom głowy,
Gdy po łące kolorowej, co weselem kwiatów lśni,
Pełne uciech i zabawy, za motylem biegły w trawy,
Coraz dalej w świat jaskrawy czarodziejskich letnich dni.
Motyl był im przewodnikiem w kraj, gdzie wszystko szczęściem [śni,
Gdzie powietrze czarem drży.

— Bujna łąka otoczyła nasze głowy, rozdzieliła
Nasze oczy. Łąko miła, jakżeś pełna wonnych ziół.
Twój to motyl nas prowadzi; Haniu, szukasz w trawach Jadzi?
Niechże motyl ją ci zdradzi, lub te roje gwarnych pszczół.
Łąko miła, niech nad Jadzią, na rumieńcach kwietnych czół
Znajdą pszczółki miodny stół.

Patrz-że Haniu, pszczoły zgadły, — tam gdzie Jadzia, tam [usiadły,
Z brzękiem słodki kwiat opadły — łąka dała im już znak —
I znalazła Jadzię Hania, pośród krzewów oplątania...
— Dalej teraz, czas pogania, motyl wiedzie kręty szlak —
Nagle usiadł nasz przewodnik, czteroskrzydły, złoty ptak,
Gdzie rumianek kwitł i mak.

— Z maków, Haniu, uwij wianek, a ty, Zosiu, rwij rumianek,
Wpleć w warkocze — z tych wiązanek idą czary niby sny.

Tyś królewna kwiatów białych, a tyś — pani tych wspaniałych
Maków, słońcem rozgorzałych — dziś spełnione wasze sny.
— »My królewny, ach, czy prawda, wszystko w sercu naszem drży'
Powiedz, może kłamiesz ty?«

— Ja nie kłamię — mówię szczerze — wy królewny, i w ofierze
Serca złożą wam rycerze, wam ubogich szary rój.
Będzie szeptał dziękczynienia za cudowne uzdrowienia,
Za tę siłę, co przemienia mrok niedoli w świateł zdrój
A spotkawszy którą w lesie, zmięknie każdy straszny zbój
I odchyli topór swój.

A w dolinie, gdzie mniej skwaru, na murawie pośród jaru
My spoczęli pełni gwaru, a zmęczeni, że i nóg
Nie czujący prawie wcale, jak tęsknoty zbladłe fale,
Przepłynąwszy takie dale, takich kwiatów wonny ług!
Blizko rzeczka już migoce rozegrzanych słońcem strug,
A w oddali — borów smug!

Lecz spoczynek nasz był krótki — wnet nad rzeczką w stronę łódki
Zbiegli my, gdzie niezabudki, jak błękitnych źrenic chór,
Między wodę, co się złoci, po rozkosznych kęp wilgoci,
Których żaden brud nie zbłoci, roztoczyły cudny wzór —
Nieskalane w swej piękności, niby wieczne śniegi gór,
Które tylko są dla chmur.

Naprzód Zosia złotowłosa szła po kwiatkach cicha, bosa —
Ona pierwsza, bo niebiosa miała w oczach, ona — cud
Tej królewny, sercem białej, której stopy mogą małe
Iść nad wszelką ziemi chwałę — tak nas wiodła w kraje złud —
Aż nam rzeczka zamigocze, szemrząc ciepłem swoich wód,
Gdzie piaszczysty, jasny bród.

A za brodem w łódkę żwawo siedli wszyscy i w jaskrawą
Dal płynęli — w smugę mgławą, gdzie unosił wody bieg.
Przy mnie siadła żywa Hania, ale rzęsą wzrok przysłania —
Pełna myśli i wzdychania. — Jakiż smutek w duszę legł?
— Powiedz Haniu — twarz ci w zorzach, to blednieje, jako śnieg
Lilij, których pełen brzeg. —

Tak pytałem zapłonioną, bo spostrzegłem, jak to łono
Już wznosiło się stęsknioną marzeń falą, niby zórz
Jasnem drżeniem, co przenika, co się samo w serce wmyka,
I tam szepce, jak muzyka, jak dotknięcie krasnych róż.
Dalej siedział dzielny Janek. — Janku, wiosła swoje złóż
I przy Hani usiądź tuż. —

— Mnie tu dobrze bez tej małej — rzucił hardo chłopak śmiały,
Nagle urwał — i skraśniały jego lica — schylił twarz.
Hania z kwiatków plotła wieniec, pieszcząc dłońmi, cieniem źrenic
Swe kwiateczki a rumieniec szeptał w skronie: — Masz mnie, masz
— Ja palący, ach, nieznośny, Mała Pani, ty mię znasz —
Ja, o dzieci, zdrajca wasz. —

Ledwo drżały w ręku wiosła, cicha woda wciąż nas niosła
Ku zatokom, gdzie zarosła zieleń brzegów tłumem drzew.
Krąg jeziora tuż przed nami — śniegiem lilij oczy mami,
I kąpielą i figlami. — Płyńmy, gdzie ten skwitły krzew.
Ukochane letnie wody, waszych nurtów błogi śpiew
Pieści rozegrzaną krew. —

Wnet dziewczynki w złotym piasku, pełne śmiechów, pełne
[wrzasku,
Pluszcząc wodą w słońca blasku, zabryzgały całkiem nas,
Krzycząc, byśmy w dal płynęli, póki one w tej kąpieli
Będą rwały kwiat grążeli, roześmiane, w bieli kras —

Będą pływać i swawolić aż zaszumi stary las,
Bo wszak szczęścia nadszedł czas.

Odegnani bryzgów tęczą, za słoneczną fal obręczą,
My uciekli, gdzie nam dźwięczą ciche śpiewy dziwnych słów.
Tam wnet chłopcy, jak trytony, popłynęli na wsze strony,
Rwąc ajerów bujne plony, albo urządzając łów
Za rybkami, co znikały nakształt srebrnych, cichych snów,
Drwiąc z dziecinnych śmiesznych głów.

Hen, daleko — nimfy małe, ustrojone w kwietną chwałę,
Jak łabędzie jezior białe, popłynęły w cichą dal.
Wnet tu chłopcy z myślą psoty, siadłszy w łódkę, okrąg złoty
Przepłynęli i z pustoty urządzili sobie bal,
Zatopiwszy kolorowe ich sukienki w kryształ fal;
— Chłopcy, czyż wam ich nie żal?

— Głupstwo, my tak zawsze zwykli! — swawolnicy mnie [odkrzykli,
I po chwili w krzewach znikli — stamtąd wkrótce buchnął gwar,
Zaszumiały krze wikliny — przemknął biały cień dziewczyny,
Przez złociste mchów kępiny, w stronę gdzie słoneczny skwar —
Tam ścigana biegła Hania, w słońca duszny biegła żar,
Jak widzenia złudny czar.

Ale ciernie tam kolące rosły na zdradliwej łące:
Ich dotknięcia, jak bolące ukąszenia, piły krew —
Padła Hania tam spłakana, chyląc główkę na kolana:
— Ach, mamusiu, krwią zbryzgana moja noga — a ten krzew,
To czarownik zły, okrutny — sroży swą krzaczastą brew —
Widzę jego dziki gniew. —

A zaledwie tak szepnęła, ciemna groza ją objęła —
Wprost naprzeciw wychynęła z sykiem żmija — straszny gad...

Lecz tu Janek z kijem w ręku nadbiegł szybko i bez lęku
Palnął w żmiję, aż na sęku kij zatrzeszczał — i złych zdrad
Ciemny pierścień skonał sycząc, a Jankowi w ogniu szat
Bohaterskich błysnął świat!

— To ty, Janku, straszną żmiję tę zabiłeś? Już nie żyje?...
A mnie jeszcze serce bije! — zawołała Hania doń.
I o bólu zapomniała, i z rumieńcem, tak, jak stała,
Przygarnęła się, jak biała nimfa, i złożyła skroń
Na ramieniu swego zbawcy i tuliła jego dłoń,
Szepcąc: — Ty mię zawsze broń.

— »Ach, Haniutka, poranione twoje nogi, pokrwawione —
Pewno ciebie bolą one — w oczach twoich błyszczą łzy...
Ja te ciernie wydostanę, ja zagoję poszarpane
Białe nóżki te kochane... usiądź Haniu, usiądź ty...
Ot, wyjąłem — wszystko dobrze... przebacz Haniu głupie gry...
Ja swawolnik dziki, zły«.

Wtem skraśniały dzieciom lica — w niej zbudziła się dziewica,
W nim — miłości tajemnica, i zaszeptał drżący głos:
— Całą suknią sznur korali — reszta gdzieś w topielach fali
Ach, jak wstyd twarzyczkę pali, jak skroń zgniata mokry włos,
Po ramionach rozpleciony, opłakuje deszczem ros
Biednej Hani smutny los. —

Ale Janek by czemś pchnięty, jak królewicz w czar zaklęty,
Nagle ustek jej ponęty ucałował... Hani dech
Zamarł w piersiach i gwałtownie precz uciekła, i ponownie
Biegła w oddal — a czarownie szeptał sercu, niby grzech,
Ten całunek — uśmiech słońca nad cieniami śpiących strzech,
Ten zbudzenia pierwszy śmiech.

Drżała w oczach powódź słońca, a serduszko wciąż bez końca
Biło szeptem, że obrońca — to królewicz, rycerz jej...
I tak biegła aż na brzegi, zapłoniona między śniegi
Cichych kwiatów, których ściegi obramiły zieleń kniej...
Gdzieś z daleka Zosia woła i siostrzyczki szuka swej —
— Haniu, gdzie ty, Haniu, hej!

— O, ja idę, jużem blizko, ale tutaj strasznie ślizko,
I przez złote topielisko muszę iść do ciebie ja. —
Głos biegł Hani w oddalenia, jakiś drżący ze wzruszenia,
Jak różowych ust westchnienia, jak przejrzysta w rzęsach łza
I wspomnieniem łaskotana, które kwitło z serca dna,
Ku wybrzeżom Hania szła.

Wkrótce siedliśmy do łodzi — rozbawieni my i młodzi.
W dal prowadził nas czarodziej, w dal bez końca w błękit dum.
I milczały wszystkie dzieci, zaplątane w marzeń sieci,
I patrzyły, jak im świeci cudnych bajek rojny tłum.
A najbardziej dziwnie błyszczał, w samo wnętrze sercom dwóm
Skrytych westchnień kwietny szum.

Przeminęło już południe — ale cicho i bezludnie
Jeszcze wokół — i przecudnie wyrósł naszych marzeń kwiat.
Niech go serca ukołyszą, niech napoją świętą ciszą
I kochaniem nad nim dyszą, by w radości cudnych szat
Niebem marzeń kwitł nad wami w przyszłość długich, długich lat,
Jako dziś ten złoty świat!

PO DRODZE.

Trzech żebraków na odpust szło mieszanym krokiem —
Jeden włóczył piętami, drugi wklęsłym bokiem
Kiwał się, jako bryczka po błotnych wybojach,
A trzeci — jak weteran po zwycięskich bojach —
Prosto, z brzuchem, jak bęben, szedł na trójki przedzie.
(A każdy chował w torbie chleb, wódkę i śledzie)
Upał smażył piekielny i mruczał Wincenty:
— Dyablo twarde tu gronty, już mnie bolą pięty.
A Onufry kulawiec ocierał wciąż czoło,
A Józafat wciąż spluwał i zerkał wokoło,
Czy aby kto nie jedzie. Naraz, tuż za nimi
Pan Bóg niesie dziedzica — za bryczką się dymi,
Jak z chaty czarownicy, kurz gęsty i szary
I w pyle furman, dziedzic — jako mgliste mary.
Józafat, cap za kaszkiet, i nizko się kłania.
Konie stały. — Niech Wasza Wielmożność nie wzbrania
Siąść staremu na koźle, około furmana —
Daleko do kościoła, proszę łaski Pana.
— »A siadaj mosterdzieju, tylko prędko, żywo!«
Józafat już się drapie swą tuszą cnotliwą —
Lecz obaj towarzysze krzyknęli w zazdrości:

— Jaśnie panie, to pijak! Takiego się gości
Kijem, a nie łaskami! Ot, tu pełną flaszę
Ukradł i dźwiga w torbie na strapienie nasze!
To złodziej i pijanica! — Tu Onufry chwyta
Kij i wali po torbie — flaszka już rozbita
Wódka ciecze. Józafat, rozwścieczony srodze,
Onufrego za brodę. — Ha, to ja wam szkodzę,
A parszywcy, wisielcy, dziady, łapserdaki!
Ja z pisarzów, z uczonych, ja nie brat wam jaki!
Tu skoczył precz na ziemię i z Onufrym tedy
Za łby się pochwycili, a Wincenty z biedy
Chciał skorzystać i skoczył na kozioł. — Jedź, bracie,
A wy tu drzyjcie kudły, aż z głów pozdzieracie!
Lecz tamci obaj teraz do bryczki skoczyli,
Nim furman ruszyć zdołał, i po krótkiej chwili
Ściągnęli Wincentego za nogi z powrotem.
A dziedzic, rozzłoszczony upałem i potem,
Krzyknął: — Ruszajno, Franek! — I ruszyły konie,
I nikt z was nie pojechał, wy stare nicponie!
— Ot, nikomu nie zazdrość, siadajmyż więc teraz —
Bywało sporzym nieraz, i godzim się nieraz. —
Tedy sobie przy drodze odpocząć usiedli
I w zgodzie wódkę pili, chleb i śledzie jedli.

W MIEJSKIM OGRODZIE.

W długich alejach o wieczornym zmroku
Kwieciste fale szły śmiechem i gwarem.
Jak sen, migały w zapatrzonem oku
Lica, radosne nieuchwytnym czarem.
I śmiech w źrenicach błyskał podniecony,
I bujne drżały kwiaty na kasztanach,
I drżało serce dziewicy i żony,
Jak ptak w niewoli na dziecka kolanach.
Och, te westchnienia i szepty wiosenne,
Te czułe serca, co schadzki czekają,
I ranki ciężkie, a noce bezsenne,
Kiedy się dłonie w ciemność wyciągają!
Och, barwne stroje, muśliny przejrzyste,
O utrefione długim kunsztem włosy,
Wstążki, pantofle, bukiety kwieciste,
I ciche, śpiewne, mrokiem drżące głosy!
Młodzieńcy, w jednej myśli pogrążeni,
Pośród tych girland szukają wybranki;
Młodzieńcy, wiosną i zmierzchem szaleni,
W duszy już pieszczą uśmiechy kochanki.
Dalej, na ławkach, siedli staruszkowie,

Patrzą w milczeniu i sapią powoli,
I pełni wzdychań są siwi mężowie,
Że już nie znają miłosnej niewoli.
Jednak, o dziwo — spójrz tam, przyjacielu —
Jakiś staruszek (snadź frant) z białągłową
Gada o miodnem miłości weselu,
I aż drży cały, przejęty swą mową.
A ona młoda, ciekawa i świeża,
Choć odpowiada, jednak zachmurzona,
I być wzajemną pewno nie zamierza...
A twarz starego, jak burak, czerwona.
O ty, spóźniony, zacny lowelasie!
Czyż przy zielonym nie lepiej stoliku
Młócić kartami, niźli po niewczasie
Szeptać o »serca anielskim promyku«?
Znikli nam z oczu, a my uniesieni
Gwarnym potokiem, w aleję sunęli.
Coraz to więcej marzących odcieni
W przejrzystych zmierzchów łagodnej topieli.
Coraz to bardziej źrenice ciemniały,
Niby wieczornym napojone mrokiem —
A zarys liców coraz senniej biały,
Nikłych widziadeł owiany urokiem.
I głosy, coraz to ciszej mówiące,
W ciemność leciały, jak znużone ptaki.
Oto już gasło życie dnia gorące
I rozwidniły się ułudne szlaki.
Ci, co zmęczeni ciężkim życia znojem,
Już zapomnieli o wszelkich ułudach,
Znikli, jak kurze pod ożywczym zdrojem
Wieczornej rosy. A wszystkie w swych trudach
W podłej spiekocie we dnie zwiędłe kwiaty,
Rozwarły usta, błogosławiąc życiu,

Że oto znikły ich niewoli kraty
W tej cichej nocy najdroższem ukryciu.

Gdzieś tam przyjaciel mój ze swoją miłą
Patrzą na niebios widnokrąg daleki,
Mówią o szczęściu, które się przeżyło,
I o tem szczęściu, co będzie na wieki.
I przytuleni, pieszczą się wzajemnie,
Choć już przeczucie poszeptuje z cicha,
Że rozkosz krótka i wszystko daremnie,
I dno jest w głębi każdego kielicha.
Lecz czyż nie pięknem jest życie młodości
We wszystkich błędach, tak, jako i w cnotach,
Czyż blaski słońca w tryumfie radości
Nie świecą na jej rozkiełzanych lotach?
I czyż chwil szczęścia, bezbrzeżnej rozkoszy,
Nie chowa w serce na przyszłość ciernistą,
Aby — gdy życie już wszystko spustoszy —
One zostały z pociechą świetlistą.
I czyż oddechem swym nizin nie złoci,
Które się później jak bagniska staną,
I samo w lochów podziemnej wilgoci
Nie pali świateł dłonią nieprzebraną?
A więc i kochaj, przyjacielu młody,
I patrz naokół źrenicą z płomieni,
I ciskaj słońca nawet w ciemne wody,
Aż ich głębina, jak wschód, się zrumieni.
A więc i zdradzaj, przepełen goryczy,
I świat przeklinaj sercem rozbolałem,
I złorzecz duszy kobiety zwodniczej,
I w proch upadaj przed jej cudnem ciałem!
Młode żywioły — to twoja potęga,
To krew serdeczna i płomień ofiarny —

W nich rozkosz wszelka, po którą dłoń sięga,
I krzyż cierpienia — posępny i czarny!
I wołań takich cisnęło się wiele
Do mojej duszy wśród tej samotności,
Lecz noc gwiaździsta i słowicze trele
Nazwały myśli dziś nudą mądrości.
I podniecony, szeptem wzruszeń party,
Szedłem podpatrzyć zakochanych dwoje;
Gdzieś za pniem ciemnym przystanąć u warty,
I ich rozkoszą poić serce swoje.
Lecz cóż to widzę, tam, w końcu alei?
Śmieszny staruszek przed swoją madonną
Padł na kolana (snadź już w złej nadziei
Klnie się na miłość swą wieczną, dozgonną).
Ależ po licha tak jęczy żałobnie?
Czyżby naprawdę utonął, jak suchar,
W morzu afektów i tak nieozdobnie
Rozmókł na papkę? Starcze, lepiej puhar,
Vulgo kieliszek, wychyl wprawną ręką,
A pluń na dziewki, co widzą twej czaszki
Jasną łysinę; toć przecie jest męką
Tak na kolanach opowiadać fraszki!
A gdym po cichu ich w mroku wymijał,
Nagle stłumione usłyszałem łkania,
I szept rozpaczny od drzew się odbijał,
Jak gorzkie echo żalu i kochania...

Lecz oto w mroku coś cicho bieleje —
Jakaś nieboga, schadzką zawiedziona:
Przepadło szczęście, przepadły nadzieje —
I ciemna główka ku ziemi schylona —
A w tem podniosła swą bladą twarzyczkę —
Poznałem loki i usta dziecinne,

Poznałem dawną serca powierniczkę —
Przedmiot zachwytów miłości niewinnej.
Więc też uczułem, że sam los tak zrządził,
Byśmy się zeszli w tę noc ciepłej wiosny,
Żem wiedzion sercem w te miejsca zabłądził,
Aby rozjaśnić jej smutek miłosny.
Lecz nawet w mroku widać, że tak blada...
— Cóż tam wielkiego, że schadzka zawiedzie? —
Stefa nie patrzy, krótko odpowiada,
Jakby myślała o okropnej biedzie.
— O Stefo, pomnisz te nasze spacery,
Twoje uśmiechy i łzy mej zazdrości.
O Stefo miła, czemuś bladej cery?
Noc taka cudna — mówmy o miłości. —
Długom pocieszał, aż żal się ukoił,
Aż jęła patrzeć w oczy, i drżącemi
Dłońmi objęła mą dłoń... Jam rozbroił
Dziwną zadumę sztukami słodkiemi.
I tak powoli, spojrzeniem i słowem
Miękkiem ściągnąłem w ramiona kobietę,
A ona młoda, swem ciałem zmysłowem
W duszy zbudziła mej ognia podnietę.
I tak powoli jej bluzkę powiewną
Jąłem rozchylać, choć dłonie broniły,
Choć szept błagalny jakąś skargę rzewną
Niósł mi do serca, jak echo bezsiły...
Aż wreszcie była w objęciu pokorna,
Aż młodych piersi kosztowne owoce
Były ofiarą i dłoń ma niesforna
W nich podniecała gorączki swej moce.
O słodkie jabłka skarbnicy niewieściej,
Drżące jak serce, jak krwi młodej tętno,
Ileż w was szczęścia i pragnień się mieści,

Wasze zatoki są pieśnią namiętną!
O usta smutne, różowe i drobne,
W was, jak w malinach, cicha słodycz żyje,
Wy w pocałunkach raz dzieciom podobne,
A raz — drgające, jak oślizgłe żmije!
I niewiem, czyli od wzruszeń nadmiaru,
Nagle łzą cichą zadrgało me wnętrze
I milcząc, piłem obraz tego czaru,
Jak uniesienie ekstazy najświętsze...
I wdzięczność dziwna, anielska i niema
Mnie pochyliła do jej małych dłoni.
A wtem dziewczyna rękami obiema
Zakryła lice, jak ta, co się broni
Przeciwko bólu — i łzami zachłysła,
A drobne usta skarżyły się jękiem:
— Ja zapomniana — I głowa jej zwisła,
Cichej żałości uwieńczona wdziękiem.
— Ach, Boże drogi, na sercu tak smutno,
Już cię nie ujrzę, mój jasny, jedyny;
Na śmierć mię oto skazałeś okrutną...
Och, kiedyż wspomnisz los biednej dziewczyny... —
Nagle przerwała skargi egzaltacyi
I rzekła: — Widzisz te wysokie drzewa?
Stamtąd mi przynieś gałązkę akacyi. —
Poszłem, przyniosłem jej — cała ulewa
Pęków rozkwitłych zadrżała w jej dłoniach.
— O, jak sny białe, rosiste, pachnące,
Połóż te kiści tu na moich skroniach,
Na szyi, piersiach... Jak dziwnie gorące
Te kwiaty senne... On kocha te kwiaty...
A mnie... — Tu moje uczuły ramiona,
Że milknie, mdleje... A, szkło jakieś dźwiękło —
Ona — się struła!! Nieszczęsna, już kona!

— O Stefo moja, o — serce zajękło.
Oto te piersi trucizna przeżarła —
Koniec wszystkiego — cierpienia i życia...
Czemuś odeszła, czemuś mi umarła,
Stefo rozpaczna? W śmiertelne ukrycia
Od bólów ziemskich twe serce uciekło...
O różo blada, ściemniona krwią spiekłą...

ZAKLĘCIE CHWILI.

Zanim mnie weźmie ciemny zamęt życia,
Nim gorzki popiół żar duszy pogrzebie,
Raz jeszcze pozwól, bym zaznał przez ciebie
W spragnionem sercu zdyszanej krwi bicia.

Raz jeszcze drżąca, w zapomnienia chwili,
Ujmij dłoń moją w swych dłoni pieszczoty
I wzrokiem ciemnym pij moje tęsknoty,
Aż cię wzruszenie bez słów ku mnie schyli.

O, ujmiesz wtedy mą szaleńczą głowę
I do jej liców przytulisz swe wargi —
Słodką ich władzą ukoisz żal skargi
I łzy me z serca weźmiesz piołunowe.

Bo skarg i wyznań rozpalone echa,
Jak głos zaklęcia na ciemnej mogile,
Zbudzą miłości twej serdeczną chwilę
I chwilę potrwa najsłodsza pociecha.

Niech wtedy usta te drogie spytają,
Czemu ja smutny, a potem — namiętne,

W dreszcze rozkoszy, na wieki pamiętne
Spłyną z mojemi i duszę wyssają!

Jeszcze obejmę, jeszcze raz przygarnę
Wygięte ciało do piersi bijącej...
A potem — przemień ty, ptaku płonący —
Chwilo bezbrzeżna, ty święto ofiarne!

Im większa ciemność mnie kiedyś otoczy,
Tem droższą gwiazdką z oddali zaświecisz
I widmem wspomnień pociechę rozniecisz,
I usną w szczęściu me znękane oczy.

WIOSNA.

Najpierwsza w dziejach wiosny zapisana karta
O tem, że chłód rozgrzany i szata przedarta
Śnieżnej zimy i śmierci, i z kajdan zakrzepłych
Słoneczna moc kaskadą promieni swych ciepłych
Coraz szybciej wyrywa spętane żywioły
Zmarzłej Wody i Ziemi. Pierwsze apostoły
I rycerze to pierwsi odwiecznej przemiany.
Idzie tedy moc Ziemi, ziarnami zasianej,
I wody, rwącej skały, piaski i kamienie,
Budzącej dziką pieśnią zdrętwiałe stworzenie.
Woda, mszcząc się za pęta, zniszczenie roznosi,
A Ziemia, pełna kiełków, słońca ciągle prosi
O ciepło i promienie. Potem Wichry szumne
Przylecą i rozdmuchną ostatnią złą trumnę
Bladej, głuchej zimnicy, i na niebie boje
Rozpoczną, jak demony o władania swoje.
Potem wszelkie nadmiary na nicość rozmiotą
I ucichną zdyszane swą szumną robotą,

Takim jest pierwszy obraz — Zemsta sił pętanych
W śnieżystych mrozów kleszczach, a dziś rozkiełzanych.

Czarna gleba i wody spienione i mętne,
A za niemi — tuż blizko i Jutro odświętne.

Kilka niedziel przeminęło —
Każdy dzień niósł zmianę nową.
Rozbłyskało wiosny dzieło
Gloryą życia kolorową.
Wszędy tryska pyszna radość
Płomiennego odrodzenia,
Zemstom już się stało zadość —
Czas nadeszedł sprzymierzenia.
Mocą wody, słońca, ziemi
Świat wyrasta cudnie młody,
Girlandami zielonemi
Na wiosenne ubran gody.
Niemasz burzy i w spokoju
Śpiew się niesie z warg tysiąca,
Śpiew o wielkim Życia zdroju,
O tej fali, co szumiąca
Całą ziemię dziś zalewa,
Niosąc zwierząt chytrych tłumy,
Wlokąc trawy, młode drzewa,
Śpiewy, świsty i poszumy.
Najbujniejszy świat — roślinny.
W twardem ziarnie długo drzemie,
Zamarznięty i bezczynny;
Później pnie się wskróś przez ziemię,
Lub przez suchość dawnej kory.
I powstają wielkie dziwy:
Każdy ród zna ojców wzory
I odtwarza pamiętliwy.
Jest w zarodku skryta siła,
Co ma pamięć swego bytu,

Gdy w rodzicach jeszcze żyła
Podczas kwiatu i przekwitu.
Dziwna siła, co pamięta,
Jak z najmniejszych ciał — cegiełek
Szła budowa żmudnie kręta,
Aż powstawał blady kiełek.
Dzisiaj oto miękkie ciała
Jęła rzeźbić i układać,
Aż ich zgodność wiernie cała
Będzie dawnej odpowiadać.
Dziwna siła! taka wierna
Swej pamięci. Za jej sprawą
Forma rodzi się misterna
I pięknością lśni jaskrawą.
Lecz młodości wolne pędy,
Wichry, słońce, niebios słoty —
Też swawolą bujne wszędy,
I w sprzecznościach duch istoty.
Dnie wśród trudów szybko płyną,
Wzrośnie moc istoty młodej —
Kwietną stanie się rośliną,
Aby później wydać płody.

Inny świat tworzą bystre, ruchliwe zwierzęta;
Im sieć korzeni chwytnych swobody nie pęta
I zaludniają wszystkie zakątki natury —
Od trzcin jeziornej głębi aż pod białe chmury.
Wola w nich i popędy błyskają ruchliwe
I oczy ich ciekawe, światłem migotliwe.
Namiętne i drapieżne, z głuchej żądzy tętnem —
Więc moc żywiołów słabszem naznacza je piętnem.
Im mało spijać słońce i deszcze podniebne:
Im sok zielonych pędów i płody potrzebne,

A nawet ciało braci. Więc walki uparte
Idą między chciwcami, gdzie cośkolwiek warte
Głodnego pożądania. I słabi chytrością
A silni siłą biorą, a podli — podłością.
Lecz jak wśród krwawych bojów moc się doskonali,
Jak barwnie zbiega życie, jak oko się pali!
Splot wrażeń, zmian tysiące oszukują ruchy —
Od ojców dziedziczone tajemne łańcuchy.
I myśl się dźwiga zwolna z odruchów zawiłej
I bezwiednej machiny, w której ciemnie były.
O patrzcie w cud przyrody: z Jedności pierwotnej
Z Jedności Czucia-Ruchu — potęgi samotnej —
Powoli rośnie jasność pierwszego wrażenia,
I zewnętrzna przyczyna, co w myśl się przemienia.
Dwie drogi odtąd naprzód wielkie Jedno wiodą:
Jedna jest Światem Ciała, druga — Duszą młodą.
A gdy się Ciała postać przemienia powoli,
To Dusza też się zmienia, choć nie jest w niewoli.
Ją tylko chęć Harmonii tajemna przymusza;
A im zawilsza Forma — tem głębszą jest dusza.
O, ta Harmonia wielka, ale nie zastygła
W kamiennem wykończeniu, lecz ta — niedościgła,
Co z każdą chwilą inna, jak odbicie chmury
W ruchliwej głębi wodnej — to żywej natury
Wielki Obraz! I poznać zgodności nie można:
Każdy obłok rozbija fala nieostrożna
Na zamęt błysków. Jednak Harmonia istnieje!
Niech wicher zmilknie senny, niech lotny nie wieje —
Toń chmury każdy odcień i złocistą ramę
Powtórzy w swym spokoju. Toń, chmura — te same,
Co pierwej — a bez wichru wszystko leży we śnie
I odbicie zamknięte w Tożsamości cieśnie.
Tak Harmonia żywa nie jest Tożsamością,

A jest wieczyście zmienną, tajemną Zgodnością.

Takim jest drugi obraz: słoneczne widownie,
Gdzie walczą młode siły barwnie i gwałtownie.

A oto słońce po niebios krysztale
Wyższymi łuki poczęło się wznosić.
I zbłękitniały wód spienionych fale,
I cieplej trawy poczęły się rosić.
Kwieciste tłumy zalśniły na łące
I jedne drugim — dojrzałe już kwiaty —
Rzucały pyłki, owoce rodzące,
Aby zapadły w barwnych więzień kraty.
Młode stworzenia na walki i łowy
Biegły ochocze, lub w wodach śmigały;
Żar je zwycięstwem zagrzewał bojowy,
Żar ich krwi młodej, ich prężności śmiałej.
Tedy po trudzie radość rozkwitania
Wznosi wciąż wyżej słoneczne rośliny,
A świat zwierzęcy za walką się gania:
Jego rozkoszą są zwycięskie czyny.
O, kwitnie rozkosz dokoła wiosenna,
Nim kwiaty zwiędną, nim płody dojrzeją.
I zwierząt błyska odwaga płomienna —
A wszystko żyje z tajemną nadzieją,
Że przyjdzie Jutro — doba ukojenia,
Upalne Lato — święto nasycenia.

Takim jest trzeci obraz: rozkosz siły własnej,
Rozkosz słońcem dysząca, śpiew o Lecie jasny.

MODLITWA SZALEŃCA.

O dziecię moje, nieśmiałe i piękne,
  Anielskie ty moje dziecię!
Pochyl się ku mnie, ja przed tobą klęknę,
Rzucę ci marzeń pozłociste kwiecie —
I łez w mej piersi zbudzę srebrne zdroje,
I pieśnią duszy, ekstazą, marzeniem
Tak cię uwielbię, że boskim promieniem
  Zabłyśniesz, o dziecię moje!
Przestrzeń w krąg ciebie lśni blaskiem i drżeniem,
Jak w łzawem oku południa błękity.
I ty promienna, tak pełna prostoty,
Jak owe bóstwo, w którem świat ukryty —
  Patrzysz zdziwionem spojrzeniem
  Na mnie — szaleńca tęsknoty.
Dziecię ty moje, purpura zmieszania,
  Twe lice zorzą osłania,
A w białych szkliwach drgające źrenice
  Tak błyszczą łzami...
  Niechże ich światłem się sycę!
Tyś czarem ziemi, tyś jest bezwiednością
Dziecinnej duszy z jej ziemską świętością,
  Droższą od tamtej — w niebiosach.

O dziecię drżące, niech zaznam ja łaski,
Twojej postaci niech ubóstwię blaski —
I niech twe stopy, anielskie i białe,
  Będą mi relikwiami.
To przecie żywe świętości obrazy!
Niech błyszczą drogie w mych łez jasnych rosach,
  Niech błyszczą mi dyamentami!
Lecz słuchaj, nie bój się dzikiej ekstazy...
Nie bój się śmierci — umrzyj ty cicha —
  Odejdź w błękitne zawieje —
  Niech pierś twa nie oddycha,
  Niech serce twe zmartwieje...
O dziecię ziemi! Ty będziesz w mem niebie,
Będziesz świątynią i duszą mej wiary,
A ja, spalony pragnieniem ofiary,
Będę łzą serca modlił się do Ciebie!

BŁAZEŃSTWA.

I. W CYRKU.

— Ukłon mój nizki, ukłon publiczności,
Na cyrk nasz zawsze łaskawej.
Wnet się uśmieje każdy z zacnych gości —
Ręczę za efekt zabawy.

— Dużo numerów kryją nasze płótna,
Złocone pięknie kulisy.
Znikajże dzisiaj wszelka myśli smutna,
Niech żyją błazny urwisy!

Skończył arlekin i porwał drabinkę,
I skoczył zwinny het, w górę;
Wspiął się na trapez, dłonią puścił linkę
I wyprostował figurę.

— Ot, chwiać się począł błazen akrobata:
Widać rozpędu nabiera.
O, patrzcie, szerzej i szerzej wylata,
I dumnie na nas spoziera.

— Co za wyżyna. Od świateł jaskrawo,
Oślepia powódź ta biała...
Pod nogą przepaść — zuch mi błazen, brawo,
Dalipan, sztuka wspaniała!

Skończył. Sypnęły krzyki i oklaski —
Spotnialy pajac się kłania:
— Pokorne dzięki Wam za dowód łaski,
Za dowód cnego uznania.

— Pajacu biały, zgrabny arlekinie,
Powtórz swą sztukę raz jeszcze.
Nagroda hojna ciebie nie ominie,
Zaś nam potrzebne są dreszcze.

— Bo my znużeni już wszystkiem i wszędzie,
Na chwilę, widząc odwagę,
Zręczność zuchwałą, chwiejne lin krawędzie
I twą cyrkową blagę,

— Czujemy bicie serca i wzruszenie,
Bo wszakże z takiej wyżyny
Świat się zakręca i człek czuje drżenie,
I mogą zerwać się liny.

— Więc zgoda, państwo, ale nie dla złota
Powtórzę salto mortale:
Dla mojej sławy mnie bierze ochota —
O pieniądz nie chodzi mi wcale.

I znów zawisnął hen, gdzieś u stropu,
Rozpędził karuzel szalony,
I biały migał wśród świateł potopu,
I dygał na wszystkie strony.

A wtem się zachwiał, runął w zatracenie,
Pijany burzą poklasku —
Ludzie skoczyli z krzykiem ku arenie —
Trup już tam leżał na piasku.

II. WESOŁOŚĆ.

Ja jestem wesół, wraz z wami wesoły,
Z serca się śmieję, o facecyach gadam,
Na szept zgnębienia śmiechem odpowiadam,
Z pracy się śmieję i z potnej mozoły,
I z wiary głupiej i ślepej miłości —
My wszyscy, twardzi wyśmiewacze świata.
Grymas pajaca jest nam śmiechem brata —
Wszystko przedmiotem naszej wesołości.

Śmiejmyż się teraz. Patrzcie, kogoś wiozą —
Cmentarny orszak zaszarganych ludzi;
W błocie są wszyscy. Jak im się nie znudzi
Wlec się za trumną, wzdychać *doloroso*.
Toć i nieboszczyk twardy jak kloc drzewa,
Trzęsie się w śmiechu, ubawion żałobą:
Za życia nie był tak wielką osobą,
Jak dziś, gdy *requiem* kanonik zaśpiewa.
I zasług nie miał, a dziś go uczczono
Sam nie wie za co — otóż głupcy żywi.
Patrzcie-no, w śmiechu nieboszczyk się krzywi
Widząc to swoje ubłocone grono.

Aleć kompany — coś psuje śmiech szczery...
A tam do dyaska! Wszakżeśmy odważni;

Śmiech nasz dziś kiepski — nadtośmy poważni...
Z zarazy, gnicia, z dżumy i cholery
Śmiać się musimy. Śmiech nas nie zawstydzi:
Silny i śmiały jeno śmiać umie,
Ten, co w nos pluje głupocie i dumie —
Tych świat szanuje, bowiem nienawidzi!
Dziwnie ponury ten orszak żałobny...
Coś dławi humor, ten karawan czarny
Wisi jak chmura, jak zaduch cmentarny —
Śmiać się dziś trudno, choć moment sposobny.

Aha, sam jestem, kompani zniknęli...
I śmiech na twarzy skrzywionej zawisnął,
Jak obręcz twarda, za gardło mię ścisnął...
O masko śmiechu tych, co są weseli!
Bezbarwna masko, bezduszna i twarda,
Pod twą skorupą, jak w lampie tajemnej,
Żarzy się gorycz, gniewu płomień ciemny,
I boleść skuta, i dławiąca wzgarda.
O masko śmiechu — błazeńska ty twarzy,
Komedyi sztrychem na twarz nałożona —
Z tobą się zżyli my, — takeś rodzona,
Jak trykot stary dla błaznów-kuglarzy.
A im weselsi, im szumniej weseli,
Tem głębsza męka w nas i nicość życia —
Pod śmiechu maską — nędz naszych ukrycia,
Tam tchórze blade — my, ród wzgardzicieli!
Tam trwoga gnębi, żal osamotnienia,
Tam łzy zdławione i męka bezsiły,
I bunt napróżny, i złudzeń mogiły,
I duszne noce bez gwiazd wyzwolenia...

III. BOHATER.

Wył motłoch miejski, wznosząc pieśń ku górze;
Przez gruzy więzień i przez krwi kałuże
Przedarł się naprzód, nabrał sił — i wściekłe
Niósł wały swoje na tronów podnóże,
Bo serce tłumu było zemstą spiekłe.

A po przed tłumy wyrósł wódz zuchwały,
Którym ambicye dziwnie kierowały,
Bo był z tych, którzy stracili już wiarę,
W zbawczą moc czynów. Ale walczył śmiały
Za dobra przyszłe i za krzywdy stare.

I niemal bogiem zdał się być wódz młody,
Co tak szedł naprzód z okrzykiem swobody
Na barykady, wraz z tłumem spienionym.
Tłum wierzył w szczęście, nie znał co zawody,
Choć drogę znaczył swą szlakiem czerwonym.

Lecz trzeba było tytanicznej siły,
Aby się więzy niewoli skruszyły,
By padła groźnej potęga przemocy...
I wolą dziejów — znów kleszcze zdusiły,
I zapadł motłoch w ciemność krwawej nocy...

A wodza tłumów i z nim wielu innych,
Zbrodni i buntu i morderstwa winnych,
Skazano na śmierć prędką bez pardonu.
Wódz patrzył głucho na swoich spółwinnych,
Lecz sam pokrzepiał ich w godzinie skonu.

A wszak był wodzem — bez iskry zapału,
A wszak przysięgał, — a serce się śmiało

Z natchnionej twarzy, z zapewnień zwycięstwa...
Dziś, kiedy tylko umrzeć pozostało,
Umrze przynajmniej z hardą maską męstwa.

Niech się komedya dopełni do końca,
Niech oto ujrzą, jak wielki obrońca
Padnie ofiarą. Niechaj tłum zgnębiony
Ujrzy, jak skona w chwale krwi i słońca
Nowy męczennik — i klęknie schylony.

IV. BISKUP CUDOTWÓRCA.

Przed Męki Pańskiej cudownem rzeźbieniem,
Najgłębszem ducha przejęty pragnieniem,
Modlił się Biskup schylony.
I ciche słowa przejmującem drżeniem
Wzruszały cudów zasłony.
I drżały ognie i święte przedmioty,
Krzyż połyskiwał tajemniczo-złoty,
W promień przeczucia zmieniony.
Lecz próżnem było wzdychanie tęsknoty —
Cud skryły ciemne zasłony.
Wyniosły Biskup człek małej był wiary:
Próżnemi były więc ducha ofiary,
By zyskać moc czynić cuda.
Choć wszystkie oto składał ducha żary,
By prawdą stała się złuda.

Przed jego progiem — kwiat dziwnej tęsknoty,
Pokorny, pełen przeświętej prostoty —
Czekając cudu spełnienia —

Dziewczyna to blada z upiorem ślepoty,
Co zakrył źrenic jaśnienia.

Modlił się Biskup, a coraz goręcej
Uderzał w piersi i rozkładał ręce,
Jak prorok ludu wybrany.
A zwątpień śmiechu było coraz więcej,
Bo duch był niemocą spętany.

Zaś tłum stał milcząc wokół ociemniałej —
Jej dłonie ciężki różaniec ściskały
I lice trwogą wciąż bladło.
Ognie modlitwy k'niebu się wzbijały,
A serce w prochu upadło.

A otóż wyszedł w przepychu purpury
Wyniosły Biskup i wzrok swój ponury
Wpił w biedne, ślepe źrenice,
I rzekł: — Poznaję tę nieszczęsną córę,
W jej sercu także ciemnice.
Bo wiedział dawno, że oto ta blada
Kochanka pieści i rozkosz zasiada
W jej serca wnętrznej świątyni.
(Szczęsne zdarzenie, bo wszak trudna rada —
Dla grzesznych cud się nie czyni).

I dłoń poważna wzniosła się nad głowy...
Lecz jęk się zmieszał z ponuremi słowy —
Przybiegła czarna niedola:
Dziewczynę zabił sąd dziko surowy —
Ksiądz wyrzekł: To Boska wola.
A wszyscy, widząc tę tajemną chwilę,

Sławiąc moc cudów, popadali w pyle...
A Biskup stał milcząc w progu.
W duszy urągał takiej cudów sile
I mocniej zwątpił o Bogu.

V. BIESIADY WŚRÓD GROBÓW.

Był to samotny, zczerniały budynek,
Ubiegłych wieków dziwną znaczon siłą,
Przeszłości cieniów, głuchych snów spoczynek,
Milczenie tego, co rozpaczą żyło —
Więzienie ciemne, gdzie zmarli więźniowie,
O których życiu chyba upiór powie.

Okna z kratami, niby czarne jamy,
Ogromne mury, popękane w żyły,
Z zewnątrz spleśniałe — wewnątrz zdobne w szramy,
Które przez lata więźniów dłonie ryły;
Gwoździe pisały słów dzikie przekleństwa,
Rozpacze nędzy i maski szaleństwa.

W świętych zarysach bluźniercze pomysły
Z pod cieniów widne ciekawemu oku
Wędrowca — temu zaś mącą się zmysły
Od wstrętnych maszkar dziwnego uroku.
Dziwni bo ludzie z obłąkaniem w duszy
Uruśli w mistrzów wśród więziennej głuszy.

Minęły życia, zgniły w lochach trupy,
Skonały jęków szepty i szlochania.

Z pod ziemi jeno, z pod mogił skorupy
Zrywa się widmo i przeszłość odsłania.
W noc ciemną żyją męczarnie i cienie
I drżą rysami żłobione kamienie.

OPOWIEŚĆ SZALEŃCA.

Myśmy tu przyszli z bezsiłą przeżycia,
Szukając wrażeń dziwacznych a nowych;
Przyszliśmy tutaj dla nudów zabicia —
I oto stoim w tych jamach grobowych.
Nas tu ciekawią opowieści ludu,
Choć nic nie widać prócz murów i brudu.

Po dniach niewielu znikły mroczne ściany,
Girlandy kwiatów zawisły rzędami.
Na czarne cegły rzucone dywany
Zakryły szczerby świetnemi barwami.
Obrazy, wino, kobiet pięknych grono,
Którym rozkoszą nabrzmiewa wciąż łono.

Więc święto nasze! Dalejże puhary!
Oto depcemy pobielałe kości,
Z serca plujemy na śmieszne poczwary,
Co się skrzywiły z nadmiaru swej złości;
I cóż dziwnego — wszakże my — bluźnierce,
Co gwałcą groby w dzikiej poniewierce!

Dalej kobiety, zrzućcie wstydu szaty,
Ukażcie marom swego ciała piękno!
W dłoń każda weźmie kości zeschłe gnaty —
Dopieroż duchy ze zgrozą zajękną.
I pieśń śpiewajcie rozpustną, szaloną;
I kuście zmarłych, aż ogniem zapłoną!

Oto patrzajcie. Z oddalonej celi
Przyniosłem kości. Oto czaszek kilka.
Całujcie czaszki — one w ślubnej bieli,
Po śmierci teraz im rozkoszy chwilka...
Ha, będą rade, gdy usta gorące
Przylgną do zębów, jak żmije syczące!

O, jakże krwawem widmem urągania
Brzmią im me słowa, a wasze pieszczoty!
Oni bo zmarli wśród mąk opętania,
Oni bo znali tylko dłoń zgryzoty.
Myśmy powagę, śmierci odkupienie,
Zdjęli im z kości, jak nędzne odzienie...

Rzecz nowa całkiem: umarli są śmieszni,
A żywi tańczą weseli i silni.
Na twarzy wszyscy w grymasach pocieszni —
Zabobon rzekłby: Ludzie przedmogilni. —
Lecz nam nic po tem, wszystko bo już nudne,
Niech się przerywa to życie marudne.

Zrywam się ze snu — co za sen straszliwy!
Byliśmy przecie wszyscy tak weseli,
Kobiety pijane wyrabiały dziwy —
My razem z niemi uciesznie szaleli,
I schrypłym głosem śpiewaliśmy dziko,
A kości stukot grzmiał twardą muzyką.

Potem zaś wszystkie kształty się zmieniły:
Lampy zajękły gromnicznymi błyski —
Kwiaty z ścian spadły — ściany się odkryły,
I strach tajemny wziął nas w swe uściski.

Przeszłość powstała — śmiech na ustach zginął,
I duch szaleństwa ku nam palcem skinął.

A potem... straszne, straszne rzeczy potem...
Jedna dziewczyna tańczyła rozwiana,
Migając w blaskach swych warkoczy złotem,
I w śmiechu dzikim, niby opętana,
Raz po raz nogą czaszki potrącała —
Nad bielą Śmierci — ta Rozpusta biała.

Ktoś wtedy krzyknął: — To kochanka grobów
Niechże coprędzej zstąpi do mogiły,
Aby tysiącem rozkoszy sposobów
Nędzarzów zmarłych chęci się syciły!
Niech szepce słowa w miłosnem pragnieniu
Kochanka piękna — w grobowem więzieniu!

— Wyborny pomysł! — zgraja zaryczała.
Wnet błysły w dłoniach sztylety hartowne...
Padła dziewczyna i z jękiem skonała,
Krwią plamiąc nasze dywany kosztowne...
A jeden wśród nas rozpacznie zaszlochał,
Bo uczuł nagle, że tę zmarłą kochał.

I padł złamany, rwąc trefione włosy,
Jęcząc za życiem nieszczęsnej tej zmarłej,
Modlitwą wzywał piekło i niebiosy,
By się gromami i ogniem rozwarły,
Byśmy skonali przeklęci, straszliwi!
I śmierć uczuli, jeszcze będąc żywi...

Potem sztyletem przebił piersi swoje
I krwią gorącą zalał pierś kobiety...

A nam tak straszni zdali się oboje,
Żeśmy precz zbiegli, klnąc szału podniety,
Żeśmy chwyceni dreszczem grozy ciemnej,
Uczuli w piersi szept Kary tajemny.

Lecz to sen tylko, ale sen piekielny!
Śnić tak — to znaczy rzeczywistość przeżyć,
Za życia ujrzeć swój upiór śmiertelny,
I w przeczuć grozę, w szatanów uwierzyć,
Ha!... Lecz to nie sen, oto sztylet krwawy,
Ot, plamy ciemne na rzeźbach oprawy!

Tu ktoś w obłędzie, jak upiór, ohydny,
Jął krzyczeć: — Precz mi, szkieletne otwory,
Wy okna czarne — grymasy bezwstydne
Was wykrzywiają ludzkimi pozory!
Ja mocarz życia — byłem nim i będę,
Ja król szatański i swój tron zasiędę! —

— Na mnie wy patrzcie, towarzysze moi,
Jak ja przed wami w króla się przemienię.
Jam ów zakuty w tytanicznej zbroi,
Co w niebo idzie przez wasze zniszczenie. .
Z pod miecza tryśnie waszej krwi purpura,
Nad głową moją wisi złota chmura! —

— Nie, nie... jam nędzarz...
Jam szatan męki, miecz mój w kształcie krzyża
Przed nim, co ludzkie, twardą głowę zniża... —
Tu jęknął... upadł — i skonał ze śmiechem,
A ciemne mury zadrżały złem echem.
O zbrodnio nasza, o ciemne przekleństwa
Na nasze maski czy twarze szaleństwa!

URYWEK Z KRONIKI SZLACHECKIEJ A. D. MDCLXXX.

Po długich leciech wojny, co dechem płomienia
Gubiły ludzkie życia i pracowne mienia,
Co śmiercią i popiołem zasiewały pole —
Nadeszły czarne widma i niosły niedole
Straszniejsze od przebytych — niosły śmierć zarazy
(Snadź dzień nadeszedł Gniewu i Pańskiej Obrazy).
I wszystko się zmąciło w potopie rozpaczy:
Nie było stanu w ludziach: rycerzów, oraczy,
Nie było wojewodów, ani kasztelanów,
Ni matek, ojców, dzieci, ani sług, ni panów —
A jeno tłumy w mękach i śmierć przyczajona,
Co, nimeś się pomodlił, już chwyta w ramiona.
A wszędy się mieszały i szatańskie sztuki,
Bo ludzie jęli gardzić świętemi nauki,
Jeśli kapłan jakowyś — było — miał w kościele,
Gdzie, prawił, są bezsilne czartowskie fortele.
A wżdy widzieli, jako, nim skończył kazanie,
Już bladość go chwytała i straszne skonanie.
A wżdy postrzegli sami, że i w miejscu świętem
Śmierć się przyczaja cicha i dusi swem pętem.
Jeden był, pomnę, stary pan miecznik sieradzki.

Ten, cudem uzdrowiony, biegł w tłum świętokradzki.
(Tłum brał relikwie, krzycząc, by zbawiały Nieba).
On wszedł i wołał: — Bracia, jeśli cudu trzeba —
Jam cudem uzdrowiony, litanii słowami! —
I wszyscy popadali na ziemię z szlochami,
Wzywając Matki Bożej. Wtem jęk przeraźliwy
Rozdarł serca: ktoś skonał siny i straszliwy.
A wówczas jeden ryknął obłąkanym głosem,
Że starzec kłamcą z piekieł, i szaleńczym ciosem
Zabił starca godnego na stopniach ołtarza —
I wszyscy się rzucili znów do relikwiarza!
A indziej pan kasztelan, człek zły i okrutny,
Miał obrazek cudowny. Przed nim łeb swój butny
Tłukł o kamień posadzki, ale próżne słowa:
Śmierć nadchodziła — widział — od męki ogniowa.
Tedy, miasto się modlić, porwał zu krucicę
I kulami potrzaskał Matki Bożej lice...
Piekło spadło na ziemię. Ludzie zapomnieli,
Że są tworami Boga, i w śmiertnej topieli,
Nad grobem już stojący, szli w grzech i bluźnierstwa,
W rozpusty wieczne klątwy, w gwałty i morderstwa.
Zakonnice zrzucały swój wstyd i habity —
I nagie biegły w tłumy, grzech czyniąc odkryty.
W kościołach między modły ryk grzechu panował,
Gdzie bracia, siostry byli (snadź Szatan kierował).
Ojcowie, by wyzdrowieć, za radą wieszczbiarzy
Swe dzieci zabijali, krwią czyniąc na twarzy
Znaki tajnych uroków (straszliwa zaiste —
Piekło za takie sprawy i męki wieczyste!)
We krwi zakrzepły były niewiniątka słodkie
I zhańbione panienki, jak lilijki wiotkie,
Co śmiercią odkupiły ten wstyd swój śmiertelny.
A ówdzie orszak szlachty przeciągał weselny

I wszyscy tam krzyczeli w opętaniu pijanem,
Że śmierć im przyjacielem, nie żadnym tyranem,
Że szlachcic dziś wesoły, jako na zapustach —
A potem rychło marli ze śmiechem na ustach!
Owo ludzkie obłędy w czarnych cieniach moru
Wyryły pismo w ścianie milczącego dworu.
Tam ci napis postrzegłem — i widzę na wieki
Te głoski z piekieł rodem: Nam Bóg jest daleki
— A Szatan zasię blizki. — (Bluźnierstwo straszliwe:
Od mocy tych wyrazów wnet zemrze, co żywe).
I nie dziw, że w komnatach trupów ciemne zwłoki
Cuchnęły przeraźliwie: to Boskie wyroki!
To Niebios słuszna kara za piekielne grzechy,
Za bluźniercze wołania, za przedśmiertne śmiechy.
Od nieszczęść owo dawnych dziś siwe me włosy;
Dziś widzę tuczne stada i złociste kłosy,
I ludzki żywot cichy. Lecz jam ci odmienny —
Mnie zawsze dręczy myśli cień moru płomienny.
I czasem litość jakaś do serca się wkradnie,
I twarde serce łzami zasmuci się snadnie.
Przecz nieszczęść tyle było, zhańbienia i bolu,
Przecz zieleń bujna teraz na cmentarnem polu?
Przecz tak strasznie grzeszyli i tak przecierpieli —
I, Panie, nie pomogli nam Twoi anieli.
A dzisiaj niebo jasne — a oni w otchłani;
Tam żar ogniowy dusze im mękami rani...
Przecz dałeś moc szatanom? Nie, Twa litość, Panie,
Jeszcze ich z tej czeluści napowrót dostanie.
Bo zaprawdę, jak morze, ich męczarni rzeki...
A oto głos się zerwie: — Wszak Pan Bóg daleki,
A zasię Szatan .. — Zgińcie, wy słowa ponure!
Do słońca wzbij się wiaro, ponad ciemną chmurę!

POEMAT NIEDOLI.

Niegdyś wśród wyżyn szczęśliwej ludzkości,
Pośród bogactwa uroków tęczowych
Dziwnej szukałem, nadludzkiej piękności,
Jakichś zarysów nieznanych i nowych —
Lecz rozkosz w prochy zapadła nicości...
Życie mi pękło wśród złudzeń widomych
I w tłumu ciemne wygnany otchłanie,
Szedłem na rozpacz i ciężkie konanie.

Ale z tej nędzy rozpacznej i długiej,
Z przebytych cierpień, łez, i złej niewoli,
Na ciemnych drogach życiowej szarugi
Wzrosło mi dziwne poema niedoli.
Z upodleń, nieszczęść, świat powstał mi drugi
I wciągał ducha w swe głębie powoli,
Aż duch rozerwał okrąg twardej ziemi
I w wieczność błysnął mocami swojemi.

Wy się nie śmiejcie, wy, faryzeusze,
Co wśród ubóstwa świecicie złotemi

Blachy nad tłumem! Wy, karlicze dusze,
Co, drżąc przed bólem, krzyczycie: — Na ziemi
Tylko robaki znoszą serc katusze,
I Piękno gardzi ścieżkami ciemnemi,
I tylko złota rozkosz sybaryty
Prowadzi duszę na tęczowe szczyty! —

Wy posłuchajcie, jakiemi to drogi
Życie się moje wiło między ludzie,
Jak szedłem w złocie na szaleńcze progi,
Marząc o Piękna otchłani i cudzie.
I na bieg życia spojrzyjcie złowrogi,
Na boleść ducha w przebudzenia trudzie —
Na wszystkie lata, dziko powikłane,
Gdzie ból i perły, szał i krew rozsiane.

Moje pałace wśród kwietnych ogrodów,
Niosły na czole złoto-dumną pychę;
Jak białe króle wśród kornych narodów —
Tak one stały między chaty liche,
Gdzie nędza ludzka patrzy wstrętem wrzodów
I życie stoi, jak bagnisko ciche,
Gdzie śmierci upiór często chyłkiem wchodzi
I gasząc ducha, blade twarze chłodzi.

Jam nie spoglądał nigdy w tamtą stronę;
Wieczną ohydą było takie życie!
Me oczy, tylko dla piękna stworzone,
Lubiły tonąć w niezmiernym błękicie,
Albo na krzewy upadać zielone,
Lub na różowym drzemać górskim szczycie,
Lub marzyć cicho nad srebrzystą rzeką —
Zawsze od brudów i nizin daleko.

A gdy nużyły mię skarby natury,
Szedłem w pałaców czarodziejskie wnętrza.
Tam ścian błyszczących kwieciste marmury
I rzeźba postać nad postacią spiętrza;
Tam w dyamentach słońca, tam lazury
W cudnych tkaninach i czerwień gorętsza
Od róż, jakiemi zachody się krwawią —
Wszelkie przepychy moje serce bawią.

Tak, wszystko dla mnie! Dla oczu — kolory,
Ognie klejnotów i najrzadsze błyski,
Twardych mozaik zawikłane wzory
I arabesków swawolne uściski.
Dla duszy mojej niech barwne pozory
Będą gwiaździstą osłoną kołyski,
W której oddycha — i widziadeł ścianą
Nad jej tęsknotą niech czarowne staną.

Dla uszu moich szum i dźwięczne tony,
Wstęgi akordów i gwiazdy nut czystych;
Trele ptaszęce i dalekie dzwony,
Srebrny plusk wody, szum borów wieczystych;
Ciche melodye, które nastrojony
Gra mnie instrument — duch tonów przejrzystych —
Wszystko to dźwiękiem głód serca zalewa,
Aż serce samo rozkoszą odśpiewa.

Tak czarowałem stęsknione me zmysły;
Lecz zwolna przyszło coś, jak grymas nudy —
Chmury znużenia nad wszystkiem zawisły
I dziwnie zbladły wszystkich barw ułudy.
O, nie tak zrazu one mi zabłysły!
I snadź daremnie bogactwo i trudy

Wokół mnie piękno rozkoszne stworzyły:
W sercu pragnienia jakieś wyższe były.

Wtedy uczułem w dziełach ludzkiej ręki
Nowe mi piękno — ludzkiego wyrazu.
Już nie sam akord, nie pieszczotne dźwięki,
Nie same blaski kosztownego głazu,
Nie zmysłów powab, tak łatwy i miękki —
Były mi wszystkiem. Teraz mię obrazu
Dziwna przenośnia swem życiem ujęła,
Złudzeniem prawdy, tajemnicą dzieła.

Myśl rozbujana kształty z życia zwlecze,
I niesie w bezkres, w swe własne lazury;
Tam trzykroć piękniej wszystko, co człowiecze,
Połyska sercu; tam obraz natury,
Jak sen cudowny. Miast błyskawic — miecze
Gniewnego boga, miasto kwiatów — córy
Śpiącej bogini. Tam strachy i czary —
Tam świat fantazyi i słonecznej wiary!

A wszystko Prawdy owiewa potęga.
I dusza oto upojona staje,
A potem wzlata i skrzydłami sięga
W ciemne otchłanie i podniebne kraje,
Gdzie już obłąkań sina wieje wstęga...
A potem zleci i w szałach ustaje,
Nie chce już Sztuki i zamyka oczy,
A ciężar chmurny jej zmęczenie tłoczy.

Wielem przeleciał, gnan żądzą szaloną,
Lecz tych zaświatów, o jakich sny moje
Niegdyś szepnęły ułudą zamgloną,
Ja nie znalazłem. Wszystkie znane zdroje

Już przepełniły mą duszę spragnioną —
A ona woła i targa spokoje...
Lecz dokąd, dokąd?... Gdzie światy szaleńcze?
I w duszy wstają szepty potępieńcze.

— O, ty młodziku, rzuć swoje dziwactwa,
Co gryzą serce i zgorzkniałość sieją.
Idź między ludzi i ciesz się z bogactwa,
Żyj krótką chwilą, nie długą nadzieją.
Idź w świat rozkoszy, tryumfów, dworactwa —
Piękne spojrzenia twe chmury rozwieją —
I ujrzysz gwiazdy. — Cha, cha, dobra rada:
Szatan, jak dworak, składnie podpowiada!

A wnet przypełznął tłum przyjaciół mnogich
I szepnął chytrze o rozkoszach ciała —
O tych rozkoszach wybranych a drogich,
Od których dusza rozogniona pała.
Ból dla ranionych, łachman dla ubogich,
A dla wybrańców — namiętność zuchwała;
I niech świat cały zorzą zatumani,
I w zorzach sama błyśnie — serca Pani.

Ta rozkosz rzekli — to czary kobiety,
Ha, oto droga szukana oddawna!
Niech żyją dzisiaj miłosne podniety —
Tajnej cień zdrady i rozpusta jawna.
Niewieścia rozkosz — najprzedniejsze wety
Na uczcie życia — jej potęga sławna.
Ruszajmy po nią, moi przyjaciele —
Tam piękno także swe niebiosa ściele.

I kto wie nawet, czy kobiece czary
Nie będą cudem, co wszystek świat zmienia,

Co zamiast życia stawi złote mary
I zmysły ludzkie Pięknem oszalenia,
I duszę takoż — niby nagłej wiary
Promień cudowny. O złote rojenia!
Serce zadrgnęło — i szedłem namiętny
W świat obcy dotąd — bezbrzeżny, ponętny.

I oto przeszło w rozkoszy lat wiele.
Dziś pamięć księgę miłości odmyka,
A z kart tej księgi patrzą kusiciele,
Bo ich to dziełem ta straszna kronika;
Bo tylko szatan zna takie fortele,
I tak przerodzi duszę nieszczęśnika,
Że w piersi trysną mu zatrute zdroje
I zbrodnia szepnie pożądania swoje!

A zrazu wszystko zdało się porankiem
Nowego życia wśród wiecznych błękitów;
A zrazu byłem ekstazy kochankiem,
Którego dusza w łzach tonie zachwytów
I spojrzeń łzawych opleciona wiankiem,
Rwie się w krainę lazurowych szczytów;
I gwiazdy złote wokół bóstwa pali -
A te goreją na marzenia fali.

Pierwsza z kochanek imię Laury miała —
I z nią ja biegłem na zielone niwy,
Gdzie palmy drzemią, słońce spieką pała,
Gdzie wiatr łagodny, jak zwiastun szczęśliwy,
Niesie radości dla duszy i ciała.
O blasku znikły, cieniu pieszczotliwy,
Wielka miłości i wybrane piękno —
Przed wami ziemskie żywioły niech klękną!

Tam wśród rozkoszy płynęły miesiące
I jam olśniony klękał przed skarbnicą
Jej młodych wdzięków, gdzie wszystko kwitnące.
Jam zrywał lilje, gdy była dziewicą,
A potem róże przeczuciem gorące,
A potem maki z purpury krwawicą —
I kwiatów czarem byliśmy szaleni,
A ust słodyczą wciąż nienasyceni.

Aleć to w duszy, gdzieś w samej głębinie,
Są dziwne tajnie, o których człek nie wie.
Tam myśl ukryta ciemnym nurtem płynie,
Tam pod popiołem nieznane zarzewie...
I w bladych znużeń nieznośnej godzinie
Nagle usłyszysz fałsz w zachwytnym śpiewie,
Na licu widzisz tajemną brzydotę,
A w sercu śmiechy, nudę i zgryzotę.

Odeszła Laura i znalazłem inną,
Co śmiechem źrenic i falą warkoczy
Mnie czarowała. Jako łania, zwinną
Była ta druga. Jej weselne oczy
Szczęściem tańczyły, przekorą dziecinnną;
I niby dzieci, szli my w krąg ochoczy
Zabaw i psoty, jak dwa bóstwa polne,
Niosące w ciszę obrządki swawolne.

Czasem, gdy gasną purpurowe zorze,
Za wiejskie dziewczę Ania się przebiera;
Nakłada wianek, i ucieka w zboże,
I śpiewem wabi — a wę mnie zamiera
Serce pragnieniem — gonię ją przez morze
Dojrzałych kłosów — lecz morze zabiera

I niesie dalej śpiewny czar dziewczyny —
W głąb łanów płową, w zmierzch złocisto — siny.

A ja doganiam. O, blizko już widać
Krasną spódnicę i oczy chabrowe.
— A pójdźże Hanuś, dosyć już się wstydać
Swego kochania, pójdź i przychyl głowę —
I szepnij słodko — pójdź lubości przydać
Sercu mojemu — daj te kosy płowe,
Abym ci rozplótł... — A ona wciąż dalej
Biegnie ze śmiechem — a mnie ogień pali...

I ta też przeszła mi falą słoneczną,
Po której inne nadbiegną szalone —
I znikną w płaczu, bo tak ostateczną
Jest dola fali. A słońce spragnione,
Patrząc na rozkosz swawolną, taneczną,
Ich rozkosz pije, całuje zwichrzone
Długie ich włosy — smętnie białe piany —
I giną fale — a słońce bez zmiany!

O, gdybym był ja tym bogiem promiennym,
Co tron swej mocy zawiesił w przestrzeni,
Jak bóg, namiętnym i jak on, niezmiennym —
Rozpłomienionym wiecznością promieni!
Alem był tylko ja zrębem wapiennym
Dla słonej fali, co się szumnie pieni,
Co plusk uparty i gryzący niesie
W głębie opoki — i opoka rwie się.

Tu pierwsza spadła na mą duszę męka.
O, czyż wy wiecie, co znaczy ta fala,
Co wciąż w głębinach swym oddechem nęka —
I ściska piersi, i głucho przewala

Swe szepty tajne, jak chora udręka,
Co to niesyte winem gardło spala.
Bo wtedy próżnem wszelkie nasycenie:
Im bardziej sycić — tem gorsze pragnienie!

Dziwne zagadki ma piękność kobieca —
Jej miękkich kształtów doskonałość wszelka
Tak łatwo w sercu zachwyty roznieca;
I miłość Formy unosi cię wielka;
I miłość stokroć ją piękniej oświeca.
Lecz cudność kobiet — także kusicielka,
Co piękno zmąci oddechem rozkoszy
I mary czyste z zachwytów wypłoszy.

I pozostanie żarna, krwią nabiegła
Żądza, co suknie zdziera dziką dłonią,
I chwyta Białą, by mocy uległa,
Włosy rozplotła nad gorącą skronią —
I ogniem wstydu, którego tak strzegła,
Była mdlejąca, jak lilja nad tonią
Szkarłatnych świateł — by skarb swego ciała
Na rozkosz, męki, zhańbienie oddała!

Już dawno miłość mą żądza zniszczyła —
Zmarły sny Piękna i żmija lubieżność
Gmachy tęsknoty na popiół spaliła
I ukazała dzikich łun bezbrzeżność...
Tam moja droga i tam mnie mogiła!
Spłonę w szaleństwach — wypłacę należność
Krwawą swym losom — ale zawsze jasną
Tęczą świecący i purpurą własną!

A gdym tak szalał — przyszedł czas przemiany:
Boleść mi życie złamała na dwoje,

Cisnęła przeszłość w wiecznych wspomnień piany,
A w przyszłość krwawe rozwarła podwoje!
Ale jak okręt, w zamęty porwany,
Czasem znajduje wybawienie swoje,
Jeśli są żagle i wicher uderza —
Tak ja swym szałem płynąłem w bezbrzeża.

Pomnę ów wieczór. »Patio« marmurowe,
Pluski fontanny i pachnące kwiaty,
Smętnej Anity włosy hebanowe,
Jej bujną postać na wzorach makaty —
A wszystko było od lamp purpurowe —
I bezwstyd śmiał się przez odkryte szaty...
Lecz ja znudzony, myślałem jak więcej
Wypić rozkoszy — rozpłonąć goręcej.

Naraz, — o pomnę, wszak często Anita,
Widząc me chłody, błagała ze łzami,
Bym wypił napój, którego moc skryta
Odnawia miłość i znów żądzą mami.
— Daj mi ten napój, niech radość zawita
Do naszych objęć... — Drżącemi rękami
W usta mi flakon Anita przechyla...
I tu przychodzi obłąkana chwila.

Myśl, dotąd tajna, raptem się rozwarła,
Jak pożar, długo we wnętrzu tłumiony:
— Będziesz ty moja, lecz jako umarła;
I ja nasycę się tobą — szalony... —
Anita do mnie w szczęściu się przywarła,
A jam na piersi jej zrobił czerwony
Zatrutem ostrzem rys — ciemno krwawiący,
Mówiąc, że znak to miłości palącej.

Żądza Anity oplota mię dzika —
Rozwite włosy tuliły nas ciemną
Falą pieszczoty — A wtem się rozmyka
Jej ciała uścisk — chyli się przedemną...
— O, boleść pali... jad kolcami wnika...
Tyś mię to zranił trucizną tajemną...
Bom ci już wstrętna... lecz ja... ach, przebaczę;
Lepiej mi umrzeć... patrz, nawet nie płaczę... —

Lecz ból zwyciężył — krzyk zatargał nocą —
I skurcze dzikie przebiegły przez ciało —
Męką zawodów i jadu przemocą
Targane serce oto zajęczało
Po raz ostatni... A ją z głuchą mocą,
Pijany całkiem, pochwyciłem białą —
Sennną już w śmierci — i piłem ze śmiechem
Radość i rozkosz — i noc brzmiała echem.

Lecz niosło echo straszliwe pogwary:
Serce się tłukło — i tłukły się wrota.
Jam krzyczał chryple — i krzyczały mary
Za ciemną kratą — i czarna hołota
Wpada przed oczy — ha, to nie do wiary, —
Ktoś mię porywa, ktoś mną dziko miota!...
A tam Anita... leży... ciepła jeszcze,..
O, jej słodycze, o straszliwe dreszcze!!

Zbrodni upiora niosły blade zwłoki —
Na mnie, jak żmije, spadły podejrzenia.
Prędko sąd przyszedł, potwór chytrooki,
Co ma źrenice, jak gadu spojrzenia,
Kiedy cię dusi i zaciąga w mroki
Głuchej pieczary... I w imię sumienia

Dał mi kajdany i pieczęć zbrodniarza...
Ta chwila dotąd pamięcią przeraża!

Ha, te godziny niewoli więziennej,
Kiedy cię duszność wężami ogarnie!
Wszystko zamiera w martwocie kamiennej —
I w ciszy rosną piekielne męczarnie.
Nademną upiór wspomnienia bezsenny
W głuchej pomroce rozżarza latarnie...
I widzę, widzę wszystkie straszne chwile —
O piekło moje, dlaczego ich tyle?

Hen, w świetle mózgu, powoli się wznoszą
Smętne postacie — zrywają całuny
I stają ciche bolesną rozkoszą —
Drżą echem wspomnień, jak przebrzmiałe struny,
A usta krwawe o śmierć jeno proszą,
A twarze palą im rozpustne łuny...
Życie już na nic — miłość pogardzona —
Śmierć im zbawieniem — każda cicho kona.

Sen mnie odbiega — tylko mętne koła
Migają w oczach, a szumem drżą skronie;
Nagle krzyk jakiś pośród ciszy woła...
A — jęk ów straszny — niech w ciemniach utonie!
Niech zginie prędzej! — Dusza znieść nie zdoła...
Rozpaczne lica migają w koronie,
Jaką w pomrokę rzuca żar ogniska —
W umarłym bólu jakaś twarz tak blizka!

Ona przychodzi... O cicha i blada...
Zgasła źrenica, jak żywa ciemnieje;
Zda się, koło mnie na barłóg usiada
I piersią słodką moje piersi grzeje,

A rys czerwony w głąb serca zapada...
Ten rys piekielny we mnie ognie leje...
Och, ty Anita, odejm ty swe ręce,
O, odchyl usta, popalone w męce!

Długie to chwile, godziny przeklęte,
Długie i krwawe, szumiące rozpaczą;
Ciemnych boleści kirem osłonięte
Ptaki — Upiory! Wasze skrzydła płaczą,
A szpony krwawią wszystko, co nietknięte,
I ślad ogniowy w drżących ciemniach znaczą.
O moce krwawe, co ducha budzicie
Na życie z bólem, na prawdziwe życie!

Jam w tych godzinach rozerwał skorupy —
I głębie oto ujrzałem przed sobą,
I rzeczy wszelkie, co dotąd, jak trupy,
Mnie przerażały lękiem i żałobą,
Furyą sumienia — i duszę na łupy
Wstrętu i bólu niosły — dziś ozdobą
Smutku łzawego i niby miłości
Nikłym uśmiechem wieńczyły mych gości.

Lecz jakże innem jest takie kochanie,
Które z boleści tajemnie wykwita.
Wszak miłość taka — to duszy zbratanie,
To pozdrowienie, jakiem smutek wita
Każdy jęk obcy, jak własnych ust łkanie,
I cicho serca o przyczynę pyta.
O, tej miłości nie znałem ja wcale:
W niej złoto piękna, w niej i krwi korale.

O goście moi, o cienie bezmowne —
Już ja się teraz waszych lic nie boję.

Chodźcie wy do mnie, cierpienia bezsłowne,
Odkryjcie boleść i spodlenia swoje;
I serca dajcie — bo teraz cudowne
Moce są we mnie — ukochania zdroje —
Ja hańbę zmyję gorącemi łzami
I rany zamknę spiekłemi ustami.

Ja na kolana przed wami upadnę,
Jak wyście niegdyś przedemną klęczały.
Za wasze serca ja swe serce zdradne
Cisnę wam ze krwią, byście je zdeptały!
Ja będę tulił boleścią bezwładne
Wasze postacie, aż w kochaniu, cały
Spłonę rozpaczą — skargą — zapomnieniem,
Aż wam przeszłości będę odkupieniem!

I noc po nocy, marzenia półsenne
Tłumem widziadeł otoczą mą duszę —
I w ogniach serca goreją płomienne,
Jako wulkanów dzikie pióropusze.
Aż wrosły w zaświat, w przepaście bezdenne...
Stamtąd mi przyszło w niewoli mej głuszę
Razu jednego zaziemskie zjawisko —
Anity widmo — i stanęło blizko.

To nie złudzenie, to Dusza, to ona!
I stoi blada, i spogląda cicha.
Włosy drżą ciemne i drży zarys łona,
I pierś ofiarna wiecznym smutkiem wzdycha;
A, znikła gdziesi ta kresa czerwona —
Podbiegam do niej — lecz widmo odpycha
Przejrzystą dłonią, jak lilją bez skazy,
I w kąt wskazuje, gdzie dwa leżą głazy.

Tam mi zbawienie! W radosnym okrzyku
Chwytam za krawędź lecz kamienna waga
Głucho urąga: — Nędzny niewolniku,
Niech ci to głuche widziadło pomaga
Za dawne szczęście, krwawy okrutniku!
O Boże Wielki!... Wtem straszna uwaga
Oczy rozszerza — widzę — dłoń Anity
Porusza kamień — i — otwór odkryty!

Tędy uciekłem. Krwawiło się serce
Żalem, nadzieją i szeptem modlitwy,
Kiedym po długiej kaźni poniewierce;
Po dzikich latach upiornej gonitwy
Wracał do domu. Ha, jako mordercę
Przyjął mnie dom mój, jako zbiega z bitwy,
Gdy żadnych ogni pierś nędzna nie mieści,
Chyba, że płomień wstydu i bezcześci!

A przyjaciele chłodni i serdeczni
Znikli gdzieś w tłumie, skąd pełzły odgłosy
Cnotliwej wzgardy, skąd »ludzie społeczni«
Mogli ujadać, choćby w niebogłosy.
Inni szli jawnie, a bardziej waleczni
Rwali me dobro: mieli czujne nosy
I przewąchali, gdzie jest coś z padliny.
O, kruki, hyeny, chytre brudów syny!

O moi bliźni — jak prędko umiecie
Dojrzeć, gdzie błyszczy coś od was lepszego,
Czy blask bogactwa, co wam w oczy miecie
Boleść nieznośną, czy człeka wyższego
Samotną drogę. Ach, przecież na świecie
Wszyscy są równi — więc niech wszyscy strzegą,

By nikt nie urósł nad głowę sąsiada —
A jeśli wyrósł — tedy jemu biada!

Chociaż, co prawda, jeśli mocno stoi —
Długo, by runął, gryźć pięty wypadnie.
Czasem człek nawet takiego się boi
I musi słuchać i dygać układnie.
Lecz gdy się chwieje — o bliźni wy moi —
Jakżeście mężni — a gdy już upadnie,
Wtedy prawicą wyroków jesteście,
Krzycząc, że kara dosięgła już wreszcie.

A iż nagroda rzeczą sprawiedliwą,
Więc za swą pracę obszerne kieszenie
I pusty brzuch swój zapełnia, co żywo,
Każdy pracownik. Jeśli chude mienie,
To człek przynajmniej wypluje cnotliwą
Wzgardę — i słowem ugasi pragnienie;
A zawsze póty rwie, pluje i niszczy,
Aż nic nie będzie prócz błota i zgliszczy.

Długo walczyłem — póki sił mi w pięści
I przekleństw w gardle, i ducha starczyło.
Ale daremnie — wszystko szło mi w części:
Koło fortuny już się obróciło!
A wiedz, że jeśli już ci się nie szczęści,
To nie naprawisz losu żadną siłą;
I lepiej plunąć, spojrzawszy wzgardliwie,
Niźli w lamentach zawodzić płaczliwie.

Parę lat przeszło — i oto ruiną
Stało się wszystko, i w morzu pamięci
Zniknąłem jak szczątek — fale dalej płyną,
Wir tylko raz się ostatni zakręci —

I cicho wokół, i z nową godziną
Ludzie już inną zdobyczą zajęci —
Nowe ofiary mrok głębin otoczy
I dziwne cienie widzą zlękłe oczy.

Tam śmietnik życia. Biada tym rozbitkom,
Którzy z tych nizin wspinają się jeszcze
Ku wzgórzom kwietnym, ku życia przybytkom:
Takich potwory wnet chwycą w swe kleszcze
I najtajniejszym biednej duszy skrytkom
Wydrą ich resztki. Potwory złowieszcze,
Okryte chmurą, mają w sobie nędzy
Ohydne oczy, w płaszczach — brzęk pieniędzy.

Tam ja błądziłem, sam z liczby wygnańców,
I nieraz nogą potrącałem próchno,
W którem się mrowi rzesza obszarpańców,
W którem ohydnie wrzody nędzy cuchną.
A zaś potwory, kiedy kto do krańców
Swych nieszczęść dojdzie, aż bluźnierstwa buchną,
Jak krwawa łuna — wtedy brzękną worem
I rzeką: — Oto on biedy doktorem.

— Ha, gdzie lekarstwo? Dajcie zbiegłe lata,
Wróćcie mi przeszłość, tę, z młodości dali!
Ha, brzęczy pieniądz, a widmo przygniata...
Ktoś ty, bez twarzy? Twoja ręka pali,
Chcesz ze mnie zrobić zbójcę za dukatą?
Puść mnie — precz, złoto! — Nie, wszystko się wali...
— Iść każesz? — Tu się zrywa jeden z wielu:
— Za tobą idę, ciemny kusicielu! —

Znałem takiego. Miał oczy łagodne
I nieraz uśmiech blady przygnębienia

Drżał mu na ustach. W norze mieszkał chłodnej,
W nędzy, co dziwnem światłem opromienia
Swoich wybrańców. Dzieci jego głodne
Były jak kwiaty, blizkie uwiędnienia.
A gdy śmierć cicha stanęła za drzwiami,
On rzekł: — Ja idę. Bóg niech będzie z wami.

I poszedł. W ręku sztylet wyostrzony
Nie drżał mu wcale. I zabił człowieka —
Zabrał dukaty. Ja, losem wiedziony,
Zbrodnię widziałem — lecz nawet powieka
Nie drgnęła żalem — śmiech jeno szalony
Piersi zachłysnął, jak spieniona rzeka:
— Giń ty potężny, bogaty, szczęśliwy —
Nędza spełniła wyrok sprawiedliwy!

Lecz prędko zgasła ta nienawiść we mnie,
Dziwnej natomiast uczucie piękności,
Która z tej zbrodni świeciła tajemnie,
Błysło mi w duszy — i z rzeczywistości
Stały się jakieś światła, jakieś ciemnie —
Pnrpura wrażeń, błagania litości,
Słowa — Demony — krew — dzikie konanie —
Leżący człowiek, co więcej nie wstanie.

Duch mój, cierpieniem przekuty na nowo,
Chował w skarbnicę dziwactwa wrażenia;
To piękno straszne, jak zaklęte słowo,
Które ruiny w upiory przemienia.
Te świecą w mrokach jasnością widmową,
W nich lęku, śmierci potworne widzenia —
W nich obłęd, ale i cuda zaświata —
Tam dusza często precz z nizin ulata.

Zapóźno przyszedł rozpaczny ratunek,
Zapóźno ojciec, swą zbrodnią rozbity,
Przyniósł dukaty. Śmierci pocałunek,
Którego obiad nie odpędzi syty,
Drżał w oczach dzieci. Ni jadło, ni trunek
Już nie pomogły. Jam widział, ukryty,
Jak obok, w lochu, marły wszystkie dzieci —
W ohydnej norze, wśród brudu i śmieci.

A później wszedłem, bezwstydnie ciekawy,
I oglądałem ich trupy kolejno.
Oczy jak żmije — na licach czarniawy
Cień od mogiły i ohydą chwiejną
Drży blask od świecy, rozwidniając sprawy
Demona śmierci. Próżnią beznadziejną
Wieczność nawisła — zaś serce me dziwne
Nagle zajękło, widząc zwłoki sztywne.

Ja, com rozumiał dziś boleść i męki,
Nagle uczułem ich śmierć i mogiłę.
Wszystkie konwulsye, i wszystkie ich jęki,
I śmierci głuchą i szyderczą siłę.
Ha, straszne rzeczy, obłąkane lęki,
Trupy milczące i serca pogniłe...
Jakaż to siła litości mie wzrusza,
Jakież to Piękno czuje nagle dusza?

Ha, po raz wtóry już błyskasz upiorem,
Ty straszne Piękno, wzrosłe z przerażenia!
Czy jesteś tylko opętaniem chorem,
Czyli naprawdę z otchłani istnienia
Duszy bolesnej świecisz, jak wieczorem
Gwiazda tęczowa, co dziko się zmienia,

Co głucho świeci, kiedy słońce kona
I krew skonania na niebie czerwona?

Gdy Rozum gaśnie i zorza Radości,
Gdy wieczna łuna bezmiernych otchłani,
Świecąc, jak próchno, pobrzaskiem jasności,
Schodzi w twą duszę — wtedy cię tumani
Tej gwiazdy piękno... Ale w duszy gości
Moc boleściwa, która krwawo rani,
A która kochać pozwala i każe.
Jej chyba życiem pałają ołtarze!

Jej dłonie wszystko, co żyje, oplotą
I wciągną w serce jak dziedzinę własną;
Tam zamiast bólu możesz ujrzeć złoto,
Jeśli w tym bólu myśl odkryjesz jasną;
I możesz płaczu pogardzić ciemnotą,
Jeśli ciemnicą jest, gdzie światła gasną,
Owo szlochanie — nie ognia kościołem.
Ja Duszy Piękno dziś oto pojąłem.

Ale nie myślcie, zacni kaznodzieje,
Żem znalazł w duszach to, co nazywacie
Dobrem zazwyczaj. Ja z tego się śmieję,
Ja nie znam Dobra w waszych cnót dogmacie,
Nie wiem, czy w zbrodni grzech jaki się dzieje.
Dla mnie drogiemi są wszystkie postacie,
Jeżeli pięknem pragnienie napoją,
To mojem Dobrem — to Świątynią moją!

Zresztą, by zdziwić was, jeszcze to powiem,
Że czasem w pięknie mem zmieścić się mogą
I wasze grzechy, i cnoty — albowiem
Mogą być piękne — pięknością złowrogą

Lub seraficzną. A poza tem to wiem,
Że dusza bywa i święta — ubogą,
A zaś zbrodnicza — królewsko bogatą;
Ja taką duszę wielbię właśnie za to.

Tedy słuchajcie, jak zwolna w ciemnicę
Ja zapadałem — w samą czeluść nędzy.
Już słońca zgasły, a krwawe księżyce
Świeciły w głębiach nad siedliskiem Jędzy,
Co we krwi czarnej i sinej ma lice,
Co zgrzyta brzękiem, jak śmiechem pieniędzy,
Mordem, rozpustą i pieśnią rozpaczy —
Tam to prowadził mnie los mój tułaczy.

I napół nędzarz, patrzyłem ponury,
A oko moje płomienne gorzało,
Idąc, jak ostrze, w głąb ludzkiej natury,
Gdzie dusza straszną i strasznem jest ciało
W swoich pięknościach. Powiedzcie, z was który
Widział, jak zbrodnia świeci dziką chwałą,
A śmiech — rozpaczą, a płacz — ukojeniem,
A wszystko piękne tajemnym promieniem?

Jam widział wiele. Pomnę, młoda matka,
Kiedy w ramionach drżało dziecko chore,
Gdy już nadzieje zgasły do ostatka
I nędza zżarła ostatnią oporę —
Nagle postrzegła białości opłatka
Swą twarz i ciało — swej piękności zmorę...
Och, poszła oddać dla ratunku dziecka
Za pieniądz — wstyd swój... O sieci zdradziecka!

Ja ją kupiłem za pierścień kosztowny —
Szczątek ostatni mej złotej przeszłości.

A gdy już żądzy zgasł płomień gwałtowny,
Jąłem urągać ofierze miłości:
— To ów ratunek dla dziecka cudowny,
Za pieniądz — rozkosz i widok nagości?
I tak dręczyłem, chcąc poznać jej serce,
A ono drżało w dzikich mąk rozterce.

I otom widział bolesne jej oczy
I piersi zwisłe — przytułek dziecięcia
Święty, ostatni... I smutek, co mroczy
Biednego ciała wychudłe objęcia...
O, całaś teraz, od stóp do warkoczy,
W ciemnej niewoli ludzkiego zwierzęcia!
I zdepczą ciebie, jak i każdą drugą...
U stóp jej zimnych ja płakałem długo.

Żem pierwszy spełnił jej gorzką ofiarę,
Że tak drży cała tą hańbą żałosną,
Że bólem święta, niesie dziką karę,
Że umęczona swą maską miłosną
W duszy przyzywa już śmiertelną marę,
Że naga, biedna... jak ptaszyna wiosną,
Tulić się pragnie... Och, to wypłakałem
I ból jej blady, jak swój, ukochałem.

W odmętach miasta są czarne śmietniki.
Tam domy zbite, a ulice ciemne,
Jak śmiech waryata, błyskają ogniki,
Tam lic nie widać, a tylko tajemne
Zarysy nieszczęść. Tu straceniec dziki,
Owdzie śmierć kroczy, tam — larwy podziemne.
A wszystko w drganiu, upiorne, chrypliwe...
Tam nawet głazy są, jak strachy żywe.

W mrocznych tawernach, gdzie nory zbrodniarzy,
Nieraz siedziałem, słuchając rozmowy.
Ten o zabiciu setki ludzi marzy,
Tamten niedawno skończył dobre łowy:
Zarznął trzech Żydów, trzech starców lichwiarzy,
Potem do studni powrzucał ich głowy.
Śmieje się wesół i wciąż opowiada,
Jak chrypi gardziel, gdy się nóż przykłada.

I śmiech tych twarzy zaiste piekielny —
Krew tutaj winem, a rzężenie śpiewem
Przy uczcie mordu, przy uczcie weselnej,
A echo skonu wesołym odzewem.
Taka ich dusza. Im obcy śmiertelny
Strach i sumienia Bóg z gromowym gniewem.
Lecz czasem z nimi, w kompanii ochoczej,
Ja szedłem spojrzeć, jak to człek krwią broczy.

Aż przyszedł koniec. Noc była burzliwa —
I mętne niebo raz wraz drżało grzmotem.
Wicher dął jękiem. Naraz postać żywa
W brzasku majaczy nad cuchnącem błotem —
Ktoś tam przechodzi. Wtem zgraja się zrywa,
Chwila — i człowiek już pada — a potem
Jęk tylko straszny — i — trup już przed nami —
Już ci rwą ubiór chciwymi szponami.

Ktoś zaraz ślepą odsłonił latarnię —
I twarz zmarłego wychyla się z mroku...
Na twarzy dzikie zastygły męczarnie...
Ta twarz mi znana! Postąpiłem kroku...
O Chryste Panie! Tyżeś to tak marnie
Zginął, ty druhu?! Przekleństwo w twem oku...

O ty, z lat młodych druhu zapomniany...
Trup oto siny... w to błoto wdeptany...

Jęk jakiś straszny zastygnął na wargach.
On tu zdeptany, on, tytan ogniowy!
Co świat chciał zbawiać — świat, co w podłych targach
I w czarnej krzywdzie znikczemniał. On nowy
Zakon chciał stworzyć — i w namiętnych skargach
Ciskał o niebo jęk, krwią purpurowy!
Oto on w błocie — kochanek ludzkości —
Przed tym nędzarzem — śród ciemnic podłości!

Jam śmierć tę pomścił — dwóch zbójców zabiłem,
Lecz sam raniony, zaledwo w głąb nocy
Uciekłszy, padłem. Już prawie nie żyłem,
Gdy mię ktoś podjął — ktoś dłoń mi pomocy
Podał litosną. Potem chory byłem —
Długie miesiące, niemal w śmierci mocy;
W jakichś zakątach klasztornej ruiny
Mnie przygarnęły nędzarzów rodziny.

I tam leżałem. I chore męczeństwa
Dłoń tych biedaków koiła. A krwawe
Były te noce, pełne snów, szaleństwa,
Gdy oczy patrzą przez siną kurzawę
Na twarz upiorów, pełną podobieństwa
Do zmarłych lica. Bo wszak widzą Jawę!
Jam wtedy pojął dzikiemi oczyma,
Jak życie ziemi tajnych sił się trzyma.

Bo wy nie sądźcie, że to czcze ułudy
I chorej duszy puste rozbijania,
Której tak wstrętne otoczenia brudy.
To samo z głębin się wiecznych wyłania,

Jak z czarnej skały błyskające rudy,
A dusza jeno te głuche świtania
Z mroków przyzywa i niesie przed oko —
A one Prawdy odziane powłoką.

Przez drogi bólu, i zgryzot, i myśli,
Po przez miłości ja szedłem tęsknoty
Do tych Harmonii, gdzieby mi nawiśli
Ciemni szatani i aniołów złoty
Chór w piękna cudzie nad duszą. — I błyśli
Oto dziś Oni. Zniżyli swe loty
Do ziemskiej cieśni z zaświatowej dali
I ściany życia z bezmiarem zbratali.

Spytasz, kto oni? Oni — zagrobowi!
Siłą swej duszy ujrzałem ich lice.
Ich myśli z ciałem nikt nie przepołowi —
Myśl ich jest ciałem. Straszne tajemnice!
Sami świat tworzą — czarni lub tęczowi —
I słońca własne, i własne ciemnice.
Ja ich ujrzałem — najdroższych zwiastunów;
Oni mi zedrą ostatki całunów.

I dzikie widma w milczeniu ukażą —
Za światem oczu — innych niebios kraje.
I oto z bladą i zczerniałą twarzą,
Z gorączki żarem — ja świadectwo daję,
Jak ów, którego anioły porażą,
By wstał i mówił — i jak on, powstaję,
Głosząc, że nędzarz jak król jest bogaty,
Jeśli swą duszą zobaczy te światy.

Tedy poznałem w dziwnym biegu życia
Piękno form zmysłów i wewnętrznej treści.

O, gdybyż razem w jedności spowicia
Zlać mi te światy! Nie — dziś się nie zmieści
Ogień mej duszy w czarowne okrycia
Ziemskich zarysów. Dziś mocą boleści,
Mocą krwi ducha ja formę utworzę
I dam jej kształtom moich światów zorze.

Gdzieżeś ty maro zaziemskiej piękności
Z owych lat dawnych, umarłych na wieki,
Znów się odzywasz? Dziś widmowych gości
Widzę nad tobą — świat nowy, daleki —
Gdzie trzeba lecieć potęgą lotności,
Gdzie w obłąkaniu są duchy — kaleki
Za śmiałość lotu. Przez widziadeł wstęgi
Widać tam kraje bezbrzeżnej potęgi.

Już płomień życia gaśnie w nędznem ciele
I szum wieczności dolatuje ucha —
To dzwony huczą w niezmiernym kościele,
Który dziś wznoszę mocą swego ducha.
Gdy już niedoli opuszczę topiele,
Świat tam mój Piękna zaklęcia usłucha:
O Duszo Twórcza — tam odtworzysz siebie —
O Duszo moja — w mej wieczności niebie!

MAKSARES.

W owych czasach zamętu, wśród słońc i ciemności,
Gdy starzy już konali bogowie ludzkości,
Gdy nowi szli dopiero w tajemnic osłonach,
Aby zająć ich miejsca na odwiecznych tronach —
Głuche fale szły w ludzkość posępną i krwawą.
Tu i tam jakiś mędrzec niósł gloryę jaskrawą
Swego słońca i boga — chciał stać się prorokiem
Nowej wiary i błysnąć przed narodów okiem
Wielkiem światłem. W tych czasach żył człowiek, imieniem
Maksares. Człek był ten tęczowym promieniem
Dziwnej mocy i piękna, i litosnej duszy.
Niegdyś rzucił on dzikość swej pustelnej głuszy,
Bo mu ciszę rozmyślań raz wraz zamącały
Dalekię echa ludzkiej niedoli i rwały
Swem ostrzem pozłociste promienie zadumy —
Więc rzucił swą pustelnię i wszedł między tłumy.
A był ów człowiek uczniem potężnych kapłanów,
Władców tajni grobowych, źródeł ducha panów.
I sam był pełen mocy i wiedzy wszelakiej,
I w ciemno-złotych oczach niósł tej wiedzy znaki.
A gdzie stąpił — tam cichły męczeństwa choroby,

Bo koił rany ciała dziwnymi sposoby;
Lub śmierć nasyłał lekką i niemal radosną.
A gdzie płakali głodni — tam dłonią litosną
Rzucał złota i chleba. A gdzie smutni byli
Ciemnią bólu — tam dziwnem upiększeniem chwili
I słowem chwytkiem w serca zarzucał nadzieję,
Że mrok już prędko zgaśnie i zorza zadnieje.
I szedł tak długie lata z zapałem pomocy,
Aż postrzegł, że wciąż ludzie są jakoby w nocy,
Że ognie prędko gasną, i ciemnie wracają,
I krople balsamiczne w niepamięć spadają;
Że wielkiem lice ziemi i dalekie drogi,
Kędy biegną niedole, i że słabe nogi
Samotnego wędrowca nieszczęścia nie zgonią —
I zawsze złe boleści gdzieś chytrze się schronią
W niedostępne kryjówki, w labirynty ludzi.
Tedy szukać jął siły, która moce zbudzi
W samem wnętrzu człowieczem i zbawców ukaże,
Bo już zanadto krwawe były ludzkie twarze,
I ciemni i obłędu już było za wiele.
I oto począł myśleć o Wiary kościele.

Wśród dum i błądzeń biegły znojne lata —
Lecz obraz wiary wciąż milczał ukryty,
I tylko dusza mówiła skrzydlata,
Że jest Bóg w niebie ponad ziemskie szczyty,
Lecz że bez niego wszystko się w krwi łamie,
I cała ziemia, w niedoli zamętach,
Czeka, jak z mroku podźwignie się ramię
Olbrzyma Ziemi — i na firmamentach
Wyryje prawa i wyznania wiary —
I szczęściem wówczas zapłacze świat stary,
Witając młodych na wiecznych słońc życie...

I oto dzikie zabłysło odkrycie,
Że jego ręka wyrzeźbi te prawa
I wzniesie ludzkość na złote wyżyny!
Więc szedł na wzgórza, gdzie spieka jaskrawa
Połyska słońcem — skąd widać doliny
I ludzkich tłumów podniesione twarze.
Tam ongi stanął tytan złoto-rudy —
Tam na zwalonej świątyni ołtarze
Postawił stopę i przemówił w ludy:
— O bracia moi, o bracia w niedoli,
Oto wam przyszedł ten, którego boli
Narówni z wami krwawica boleści —
Ten, co zwiastuje kres waszej niewoli,
Słuchajcie dzisiaj wielkiej boga wieści.
Po dusznych modłach, po długich wołaniach
Głos zeszedł z nieba w tęczowych świtaniach —
I jam głos porwał, i skrył w piersi moje:
Dzisiaj on słońcem na mrocznych otchłaniach —
I oto głos ten — ja — przed wami stoję.
Blizko dzień słońca i dzień wyzwolenia —
Zginą na wieki i łzy, i cierpienia,
Bo zejdą szczęścia bezbrzeżne jasności;
Lecz jedna droga do tego zbawienia —
Droga płomiennej wiary i miłości.
Kto się mnie odda swem sercem znękanem,
Komu modlitwy będą tajnym panem,
Komu ołtarzem będę i płomieniem
Wszelkiej ofiary i pięknem wybranem —
Temu ja będę światłem i zbawieniem.
Atma — to słowo wymawiajcie w ciszy,
Kiedy was żadne ucho nie posłyszy.
I pierścień miejcie, gdy was gnębią ciemnie,
Gdy waszym krokom zły duch towarzyszy —

O, wtedy ludzie, wtedy wierzcie we mnie! —
A potem cisza nastała grobowa
I w uszach tłumów dogasały słowa;
Lecz żar szedł od nich w samo piersi wnętrze
I coraz serca płonęły gorętsze.
A wtem ujrzeli, jak on, krok za krokiem,
Począł zstępować w świątyni podziemie —
Pod dawnych gruzów i kamieni brzemię —
I oto zniknął przed zebranych okiem.

Jak prorok odtąd wielkim ducha głosem
Wołał Maksares po miastach i siołach;
I leki czynił, i w czarodziejstw kołach
Zakręcał dusze, i miażdżącym ciosem
Był dla szyderców, którzy nie wierzyli
W jego natchnienie. Gdzie dawne świątynie
Były, tam kazał swych wiernych drużynie
Wznosić ołtarze. I oto wznosili
Wielkie kolumny, na nich kule złote,
A między niemi — trony z brył porfirów
Dla tego boga, co z niebios szafirów
Wkrótce słoneczny zejdzie w dusz tęsknotę.
Kamienne trony okryto zasłoną:
Na tle granatu — Maksaresa lice —
Z drogich kamieni surowe źrenice
Blaskiem pałały i siłą tajoną.
Wierni przyniosą tu swoje ofiary,
Będą przelewać pełne wina czary
I kornie patrzeć w Zwiastuna oblicze.
Na wyspie Nilu stanęła najświętsza
Ze wszystkich świątyń nieznanego boga.
A pod świątynią szła tajemna droga
Do komnat boga, do skalnego wnętrza.

Lecz oto wojna zleciała straszliwa —
Ludzie chwycili za twarde oręże —
Już płomień mordu przepala i zrywa
Wszystkie schronienia. Już demony-węże
Czarnej krwi falą zbryzgały krainę,
I polem stała się hańby i męki —
I kraj zdeptany ostatnią godzinę
Już widział drżącą w palcach strasznej ręki.
Wtedy załkały modlitwy i płacze
I wyciągnęły się dłonie żebracze
Do świątyń nowych, do świątyń tytana,
By przyszedł prorok z drużyną swych wiernych,
Z tumanem potęg i mocy bezmiernych
W imieniu — Atmy łaskawego Pana.
Nadeszła walka na śmierć — ostateczna.
Noc była groźna, ponura i dzika;
Na czele — Atmy drużyna słoneczna
Walczyła z chwałą. Lecz wróg wciąż nie znika —
Trwa pełen zdrady, zajadły, bezczelny —
I w tarcze wali, i krew z ciał wyciska,
Już lęk ogarnia i pot już śmiertelny...
A oto jasny ktoś wśród walki błyska —
To prorok Atmy z całą mocą swoją!
Oddech zeń idzie purpurowy, boski —
Leci sam w płaszczu, nieokryty zbroją —
Na czarnym płaszczu — srebrne zaklęć głoski...
O dziwy, miecze jego nie zakrwawią!
Odrzucił płaszcz swój i zabłysnął nagi —
Węże mięśniowe wśród błysków się pławią
I gniotą wrogów; i rykiem odwagi
Dźwiga wódz tytan zwątpiałych i rannych.
I już zmieszanie ogarniać poczyna
Szeregi wrogów. Od cięć nieustannych

Słabną ich dłonie. A wszędy się wspina
Przez żywych, zmarłych wódz — olbrzym rozwiany.
Aż wróg padł krwawy, padł ohydnym trupem!
I zahuczały radosne peany
Na cześć proroka, co ognistym słupem
Szedł w imię Pana i pierwszy zgiął wroga.
A tytan znikł gdzieś, znikł w odmęcie nocy —
Uszedł, spełniwszy swe dzieło pomocy;
I tylko jego drużyna została,
I wielkim głosem w niebo zawołała,
Że nie człowieka to pomoc, lecz boga,
Że w Maskaresa obrazie istota
Atmy jaśniała, że przez niebios wrota
Zeszedł wołany. I lud też uwierzył —
I krzyk w cześć boga o niebo uderzył.

A wkrótce głuche rozbiegły się wieści,
Że hen, na wyspie bóg Atma się zjawił,
Że ciemnia tronu jego postać mieści,
Że swoją łaską już tysiące zbawił.
Więc biegli ludzie, chcąc złożyć ofiary,
Biegli pośpiesznie, gdzie na skalnych złomach
Stała świątynia w milczących ogromach.
Tam kręte ganki, tam dumne filary
Z żółtego głazu, tam niezmierne ściany.
Ogień w świątyni, z wonnością zmieszany,
Płonie w trójnogach. W głębi chramu — schody,
Kolumny, kraty, rzeźby z ciemnych głazów.
Dalej znów płyty czarownych obrazów,
A dalej — dzbany pełne świętej wody,
A wyżej — wieniec ogni szmaragdowych,
A nad ogniami — pył blasku i cienia.

Przyszedł nareszcie ów dzień Objawienia.
Nad ludźmi w cieniach świątyni widmowych
Zarykły trąby rozpętanym gniewem.
I wszyscy, niby pod wichru powiewem,
Padli na twarze — wszyscy strachem zdjęci.
Umilkły trąby. I wybrańcy święci
Witają Pana. Wszyscy wznieśli oczy —
Niema zasłony — źrenice blask mroczy —
We mgłach zielonych, w pozłocistej szacie,
W długich kędziorów dumnym majestacie,
Ze złotą laską, co lśni dyamentami —
On tam milczący... Lecz dymy ogniowe
Wnet skryły postać, później boską głowę —
I znikło wszystko za tymi ogniami,
A kapłan wielki przemówił w te słowa:
Ludu wierny, wzmocnij wiarę:
Swemu bogu złóż ofiarę
Z rzeczy, która jest ci drogą.
Jeśli łaski żądasz małej,
To daninę złóż ubogą.
Jeśli w modłach jesteś śmiały
I chcesz wiele, to z darami
Kosztownymi idź do boga.
Od dziś jest on zawsze z wami.
W waszym gniewie on jest gniewem,
W waszej żądzy — on płomieniem
W śmierci — jest rozpacznym śpiewem,
W wiedzy — rwącym jest strumieniem,
Co unosi myśl w tajemne
Głębie prawdy, między ciemne
Zawikłania. On w naturze
Waszej duszy. On na niebie,
On jest w zbożu, jest i w chlebie.

On w łachmanach i purpurze.
Wszystko, co jest wam ogniwem
Wśród życiowych prac łańcucha,
Drży istnieniem jego żywem,
Każdy wszędzie go dosłucha.
Tu ołtarze jego płoną
I modlitwę taką chłoną:
Atma wielki,
Ojcze ziemi
Rodzicielki.
Atma dumny,
Naszej duszy
Wietrze szumny.
Atma krwawy,
Naszej wojny
Boże prawy.
Atma żarny,
Naszej żądzy
Ogniu skwarny.
Atma wieczny,
Naszych rajów
Śnie słoneczny.
Skończył kapłan. Ognie błysły
Pełne grozy — wszystkich zmysły
Zakręciły się w obrazie
Tej świętości — i w extazie
Wszyscy modły rozpoczęli.

Stało się tedy prawdą szaleńcze marzenie:
Maksares uczuł w piersi swej boskie promienie,
Uczuł ludzkiej istoty cudowną przemianę.
I odtąd w swych komnatach, gdzie skarby zebrane,
W skalnych przejściach, wśród mroku, samotny i dziki

Słuchał myśli obłędnych lub głuchej muzyki,
Którą brzmiały mu echa szumiącej ludzkości.
Dzisiaj innem w nią okiem patrzał z wysokości;
Dziś on niebem i ziemią, i wszystkiem, co żyje —
Więc wola jego w każdem zjawisku się kryje.
I granic swych uniesień nie widział ni końca —
A, wszakże ujął dłońmi glob ziemi i słońca,
Połączył je łańcuchem i oparł swe stopy
O łańcuch szafirowy; wszak niebieskie stropy
Ściągnął w ciemnie świątyni, wszak planet istotę
Przemienił w lotne ognie, co płonęły złote
Między tronu podnóża. A jego wyznawcy
Widzą topór w nim kata i objęcie zbawcy —
Bo wszystkiem mógł im stać się on, Atma Słoneczny,
On, jak niebo i morze, przemienny i wieczny!
I wszyscy jego wolą spętani na wieki!
W ciemnicy oczu strasznych wzniosły się powieki —
Ujrzał oczy w odbiciu, swoje własne oczy...
A! w nich świat nieskończony krwią i szałem broczy —
Błękitem, ogniem, złotem, nagością lubieżną —
To wszystko jest ofiarą, jemu przynależną!
Tak też czynił bóg Atma. I wszystko się rwało
W jego mocy obłędach. I kosztowne ciało
Było morzem rozkoszy dla boskiej natury —
I pił krew młodych niewiast. I, olbrzym ponury,
Kazał silnym młodzieńcom, by swoje prawice
Ucięte, na ołtarzu palili. By lice
Siwych starców bielało, widząc skony dzieci,
By pożar cichych osad tłumy biednych kmieci
Ujrzały w przerażeniu — by Wielkość targnęła
Za łańcuch szafirowy przerażeniem dzieła!
A lud w zamęcie zgrozy, w zabobonnym strachu
Był cały, jako więzień w walącym się gmąchu.

I próżno składał dzikie i straszne ofiary,
I wznosił na ołtarze pełne krwi swej czary.
By ubłagać gniewnego czarnych przeklęć Pana.
Wszystko ziało już zgubą. Już chyli się ściana —
Już, ot, zgniecie ostatki i życia i serca...
A tam za ścianą szydzi piekielny morderca.
Aż nadszedł dzień ostatni. Lud w mrocznej świątyni
Czekał, jęcząc bezsilnie, że cud się uczyni,
Że może bóg nie ześle zagłady tak rychłej...
A wtem szlochania, krzyki naokoło ścichły:
Na tronie on zabłysnął. Jako niegdyś — nagi;
Olbrzym jasny w kędziorach, pełnych złotej wagi;
Żyły sine na skroniach, oczy, jak ogniska,
I wargi purpurowe, jak krew, gdy wytryska.
I powstał milcząc. Niżej — białe nałożnice
Z rozpuszczonym warkoczem — święte gołębice,
Jego stopy całują lepkiemi wargami —
A on ich szyje, plecy krwią zranienia plami.
I we krwi już broczące — tulą się do niego.
Tuż młodzieńcy klękają w pełni piękna swego —
Bóg na karkach młodzieńców opiera swe stopy —
I walą się zdeptani, jako złote snopy.
I zaśmiał się bóg Atma — straszliwie — straszliwie —
A wtedy, jako iskra na dojrzałej niwie,
Pożarem buchła rozpacz, straszliwem wołaniem:
— Śmierć jemu! Śmierć nam także, lecz oto powstaniem!
Śmierć, pomsta, zatracenie! — I rycząc, hołota
Runęła na kolumny, na rzeźbione wrota,
Po schodach pędzą ludzie — kto czem uzbrojony,
Naokół Atmy orszak wyznawców skupiony
Pierś nadstawia za boga. Ale wał ryczący
Zalewa ich i gniecie w gruz ciemno-krwawiący.
I oto już sam Atma na trupów skłębieniu

Urąga ludzkim pomstom w swej mocy promieniu.
Lecz zbliża się godzina — i wszystko daremnie —
Już nabrzmiałe ramiona zwisają nikczemnie —
I ostrze szuka ciała — i w serce się wpija
Runął Atma wspaniały — chciwych palców żmija
Rwie na strzępy te członki — boskich sił siedliska —
I z przekleństwem do ognia płonącego ciska
Na ofiarę swej zemście i swojej boleści...
Tak zginął bóg Maksares w hańbie i bezcześci.
I cicho wokół było — i niebo piorunem
Czasem hukło — i czarnym zasłało całunem
Tę świątynię na wyspie. A tłum stał ponury,
Patrzał w ognie i trupy wśród krwawej purpury —
I milczał w proch zmiażdżony, bo rozpacz złowroga
Szalała w piersiach ludzi, że zabili Boga.

APOSTROFA.

O ziemio polska — ty opromieniona
Słoneczną chwałą i ciemnem męczeństwem
Krwawej niedoli — już twoja korona
Pod gniewnych losów potrójnem przekleństwem
Padła rozbita, jak miecz kruchej stali —
I szczątki w echa zmienione świetliste
Gdzieści nam znikły. A my wciąż szukali,
Czy gdzie na niebie jej czoło ogniste
Nie błyśnie w nocy...
O ziemio polska, pełna opowieści
O srebrnych zbrojach i wrzawach pancernych,
O sławie górnej, co skrzydłem szeleści
Swoich piór dumnych — o sercach tak wiernych,
Że marły z żalu i żrącej tęsknoty.
Myśmy korony na niebie czekali —
Lecz gwiazd nam jeno tuman migał złoty,
A wzrok i serce ginęły w tej dali
Bezdennej ciszy. A oto po latach
My, syny twoje, przygasłe cierpieniem,

Widzimy teraz, że w twoich łąk kwiatach,
Przesytych jasnej pogody promieniem,
Że w zbożach bujnych i szumach zacisznych,
I w jasnych toniach leśnego jeziora,
I w pieśniach borów, hen, pod niebo słysznych,
I w smutku cichym krwawego wieczora —
Jaśnieją skrycie twej korony szczątki.
I w pieśni chłopskiej, i w modlitwie dzieci,
I w pożegnaniu najdroższej pamiątki,
I we łzie błyszczą, co na rzęsach świeci,
Gdy oko widzi ojczyste błękity,
I w śmiechu jęczą nad hańbą rodaków,
Gdzie słychać bólu i pogardy zgrzyty,
Gdzie w proch się wali świętość dawnych znaków.
I w krwawym pyle, pod stopami wroga,
Gdy zwyciężony — rzuca jad szyderstwa,
I w skardze szemrzą, co przyzywa Boga,
I w dzikiej łunie strasznego bluźnierstwa.
Bo w śmiechu, w męce, w rozpaczy i wierze —
Wszędy się krwawi tej korony zorza
I w ciemni losów jej widne obrzeże,
Jak świt nad dalą żałobnego morza.
Tam jej okruchów gwiaździste klejnoty,
Tam relikwiarze, pełne świętych kości,
I aureoli pył wokoło złoty,
Nadzieją jasny i męką miłości!
A jedne szczątki — jak kwiaty na łące,
A drugie wichrem skrzydlate marzenia,
A inne — ognie, boleścią palące
I krzyżem czarnym niemego cierpienia.
A wszystkie — gdyby się Anioł pojawił
I wyjął z piersi, i grobów, i ziemi —

Wszystkie by zebrał, w błękity oprawił
I nawisł biały skrzydłami swojemi —
Jak druga zorza nad nami by były,
Jak gwiazd promienność, co nie zna mogiły!

KONIEC.

Październik 1905. — Grudzień 1906.

Kijów. — Lwów. — Ulaniki. — Horsple.

OMYŁKI DRUKU.

Str.	20	wiersz	5 od góry	zamiast:	białągłową	ma być:	białogłową
»	27	»	5 » »	»	przemień	»	przemiń
»	27	»	8 » »	»	gwiazką	»	gwiazdą
»	39	»	1 » »	»	pieśń	»	pięść
»	68	»	8 od dołu	»	mie	»	me

SPIS RZECZY.

Dotychczas wyszły:

1. *Ptaszycki Stanisław.* Fortuny i cnoty różność w historyi o młodzieńcu ukazana 1524. Kraków, 1889 str. 27. cena 20 ct.
2. *Karłowicz Jan.* Wita Korczewskiego Rozmowy polskie łacińskim językiem przeplatane 1553. Kraków, 1889 str. VI i 88. cena 50 ct.
3. *Celichowski Zygmunt dr.* Marcina Kwiatkowskiego Książeczki rozkoszne o poczciwem wychowaniu dziatek 1564 i Wszystkiej Lifflanckiej ziemi opisanie 1567. Kraków, 1889 str. XI i 99. cena 50 ct.
4. *Wisłocki Władysław dr.* Marcina Bielskiego Satyry. Kraków, 1889 str. XV i 119. 60 ct.
5. *Zawiliński Roman.* Szymona Szymonowicza Castus Ioseph przekładania Stanisława Gosławskiego 1597. Kraków, 1889 str. VIII i 98. 50 ct.
6. *Baraniecki Maryan dr.* Algoritmus to jest nauka liczby przez ks. Tomasza Kłosa 1538. Kraków, 1889 str. XXIV i 56. 40 ct.
7. *Zawiliński Roman.* Mikołaja Reja z Nagłowic Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego 1545. Kraków, 1889 str. XVI i 224. 1 złr.
8. *Wisłocki Władysław dr.* Proteus abo Odmieniec. Satyra z roku 1564. Kraków, 1890 str. X i 41. 25 ct.
9. *Celichowski Zygmunt dr.* Jana Seklucyana Oeconomia albo Gospodarstwo 1546. Kraków, 1890 str. VI i 78. 40 ct.
10. *Celichowski Zygmunt dr.* Krzysztofa Pussmana Historya barzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi 1551. Kraków, 1890 str. 34. 20 ct.
11. *Korzeniowski Józef dr.* Rozmowa Polaka z Litwinem 1564. Kraków, 1890 str. VIII i 91. 50 ct.
12. *Celichowski Zygmuut dr.* Jana Mrowińskiego Płoczywłosa Stadło małżeńskie 1561. Kraków, 1890 str. VI i 36. 25 ct.
13. *Celichowski Zygmunt dr.* Historya prawdziwa, która się stała w Landzie mieście niemieckiem 1568. Kraków, 1891 str. XIII i 50. 30 ct.
14. *Tomkowicz Stanisław dr.* Henryka Korneliusza Agryppy O ślachetności a zacności płci niewieściej, przekład Macieja Wirzbięty 1575. Kraków, 1891 str. 58. 30 ct.
15. *Rostafiński Józef dr.* Teodora Zawackiego Memoriale oeconomicum abo pamięć robót i wszelakiego dozoru gospodarskiego 1616. Kraków, 1891 str. XVI i 172. 80 ct.
16. *Ptaszycki Stanisław.* Hermana Schottena O cnocie abo żywocie człowiekowi przystojnym. Kraków. 1891 str. VII. i 96. 50 ct.
17. *Rostafiński Józef dr.* Stanisława Słupskiego z Rogowa Zabawy orackie 1618 i Władysława Stanisława Jeżowskiego Oekonomia 1638. Kraków, 1891 str. 87. 50 ct.

(Ciąg dalszy na odwrotnej stronie.)

18. *Czubek Jan.* Potrójny z Plauta Piotra Cieklińskiego 1597. Kraków. 1891 str. 151. 70 ct.

19 *Korzeniowski Joseph dr.* Orichoviana. Opera inedita et epistulae Stanislai Orzechowski 1543—1566. Vol. I. Cracoviae. 1891 str. XXVIII i 740. 3 złr. 60 ct.

20. *Kraushar Alexander.* Historya prawdziwa o przygodzie żałosnej książęcia finlandzkiego Jana i królewny Katarzyny 1570. Kraków. 1891 str. VIII i 64. 35 ct.

21. *Czermak Wiktor dr.* Jakóba Górskiego Rada pańska 1597. Kraków. 1892 str XV i 138. 65 ct.

Kraków, 1892. — Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. pod zarządem A. M. Kosterkiewicza.